



**CHERYL WOLVERTON**



*Po tej  
stronie raju*

*Przypatrzcie się krukom: nie sieją ani żnq;  
nie mają piwnic ani spichlerzy, a Bóg je żywi.  
O ileż ważniejsi jesteście wy niż ptaki!  
Nie bój się, mała trzódka, gdyż spodobało się  
Ojcu waszemu dać wam królestwo.*

*Ewangelia według św. Łukasza 12, 24; 32*

## **PROLOG**

- Pastorze, ja pojedę.

Jake Mathison ze zdumieniem popatrzył na kruchą dziewczynę, prowadzącą parafialny klubik dla dzieci, jakby nie dowierzając jej buńczuczemu oświadczeniu. Chociaż na dobrą sprawę nie powinien się dziwić. Przecież nie od dziś zna Jennifer Rose i doskonale wie, że nigdy nie brakowało jej entuzjazmu.

- Jennifer, nie mogę cię o to prosić - oznajmił po chwili milczenia i opadł na fotel. Lubił tę dziewczynę i wiedział, że nie straszne jej żadne wyzwania. Ale to zadanie mogło okazać się niebezpieczne.

Dziewczyna gwałtownie szarpnęła głową; niesforne kosmyki jasnych włosów, które wymknęły się spod spinki, zatańczyły wokół jej twarzy.

- Nie prosisz mnie, pastorze - zaprotestowała z miejsca. - Zgłaszam się na ochotnika - wyjaśniła żarliwie. - Zresztą, już kilka razy byłam w tamtych rejonach. Byłam w Belize, jeszcze nim powstała misja.

Jake uśmiechnął się tylko.

- Co cię tam tak ciągnie? Chcesz jechać do Ameryki Środkowej w pełni lata?

Dziewczyna rozjaśniła się.

- Z pewnością nie z powodu upałów - odparła i wstawszy, zaczęła niecierpliwie przemierzać pokój. Nigdy ani chwili nie mogła usiedzieć w spokoju.

Ciekawe, jak poprzedni szef Jennifer znosił tę rozsadzającą ją energię, zastanowił się Jake. Chociaż kto wie, może jakoś nad tym zapanowała. W końcu przez długi czas była zaufaną sekretarką szefa ogromnej firmy.

- Teraz już bez żartów. - Odwróciła się do niego i zatrzymała przed biurkiem. Uniosła szczupłą dłoń. - Po pierwsze, już wcześniej byłam na San Gabriel - wyliczała na palcach. - I to nie tak dawno temu. To już jeden plus dla mnie. Poza tym przepadam za dziećmi, a tą trójką dzieciaków, którą chcą zaadoptować Richardsonowie, po prostu ktoś musi się zająć. Nie możemy zostawić ich zdanych na misjonarzy.

Jake skinął głową.

- Tu masz rację. Ale nie podoba mi się pomysł, żebyś to ty tam jechała. Pilot, który zwykle obsługuje tę trasę, właśnie wyjechał z miasta i będzie nie wcześniej niż za trzy tygodnie. A przecież wiesz, że Richardsonów stać na opłacenie osoby, która pojedzie po dzieci.

- Ale mnie znają od lat, ja nie jestem dla nich kimś obcym. - Nie zrażając się, zgięła następny palec. - I mogę jechać. Zostało mi sporo urlopu. - Zgięła ostatni wyprostowany palec. - No i znam hiszpański.

Jake wzniosł oczy do nieba. Jeśli Jennifer raz coś postanowi, trudno wybić jej z głowy choćby najbardziej szalony pomysł. Tylko dzięki jej uporowi obok świetlicy powstało przedszkole. A przecież pracuje tu dopiero półtora roku. Gdy zaproponowano jej tę pracę, nie zastanawiała się ani przez moment. Zdecydowała się w jednej chwili i nigdy nie żałowała poprzedniego stanowiska, za to całym sercem oddała się nowym obowiązkom.

Jeszcze się wahał. Jennifer ma dopiero dwadzieścia sześć lat. Lecz z drugiej strony nieraz dowiodła stanowczości i siły charakteru. Poza tym

dziewczyna ma głowę na karku. Przynajmniej z tego powodu powinien poważnie rozważyć jej propozycję.

- Nie ma nad czym się zastanawiać, pastorze - powiedziała słodko. - Przecież wiesz, że dam sobie radę.

Jake uśmiechnął się mimo woli.

- Modliłaś się w tej intencji?

Prosił Boga o pomoc. Przed trzema dniami misjonarze z San Gabriel przysłali alarmującą wiadomość o wypadku, w którym zginęli rodzice trójki dzieci. Alicia i Mark Richardsonowie, których o tym powiadomił, byli poruszeni. Kiedy dwa lata temu odwiedzili misję, podawali te dzieci do chrztu. Sami nie mieli potomstwa. Gdy tylko dowiedzieli się o tragedii, od razu zadeklarowali, że zaadoptują sieroty.

Poprosił do siebie Jennifer, by wspólnie zastanowić się nad najlepszym sposobem przetransportowania dzieci. Jej nieoczekiwana propozycja spadła na niego jak grom z jasnego nieba.

Dziewczyna, widząc jego wahanie, spoważniała.

- Bardzo się o to modliłam - powiedziała. - Pastorze, powiem ci coś. Ja czuję, że powinnam tam jechać. Nie potrafię tego wyjaśnić. Może to ma być dla mnie jakaś próba. Mam wrażenie, że stoję na rozstaju i muszę na coś się zdecydować. I że to jest ten właściwy krok, który powinnam zrobić. Naprawdę wierzę, że to Bóg kieruje mnie na tę drogę.

No i czy z takim stwierdzeniem można dyskutować? Pastor westchnął ciężko.

- Porozmawiam z Richardsonami. Jeśli się zgodzą, wyjedziesz tak szybko, jak to będzie możliwe. Tylko nie zapominaj, że na San Gabriel nie jest tak spokojnie jak w Belize. Z każdym dniem sytuacja robi się coraz bardziej napięta. Nadal trwają zamieszki między władzami rządowymi a rebeliantami. Naprawdę jest bardzo niebezpiecznie, trudno przewidzieć, co może się jeszcze wydarzyć. Między innymi dlatego tak martwimy się o te dzieci.

- Wywieziemy je stamtąd, nim coś zacznie się dziać na dobre -  
powiedziała krótko.

- Byłoby znacznie prościej, gdyby tamtejsi misjonarze mogli...

- Przecież wiesz, że teraz tym bardziej muszą być na miejscu. Nie mogą  
zostawić misji, zwłaszcza że ktoś od nas bez problemu może tam pojechać.

Jake znowu westchnął. Patrząc na ożywioną i pełną wiary we własne siły  
buzię dziewczyny, naraz poczuł się całkiem stary, choć miał dopiero trzydzieści  
pięć lat.

- No, to już idź - powiedział, kończąc rozmowę. - Zostaw mnie teraz.  
Muszę porozmawiać z Markiem.

- Dobrze! - odrzekła żarliwie i, rozpromieniona, wyrzuciła w powietrze  
rękę w geście zwycięstwa. Odwróciła się na pięcie i radosnym krokiem ruszyła  
do drzwi.

## ***ROZDZIAŁ PIERWSZY***

- To ma być samolot?

Zdumiony kobiecy głos wyrwał go ze snu. O co jej chodzi? Gage Dalton  
przetarł oczy, podniósł się i przeciągnął obolałe mięśnie. Co tam się dzieje? Z  
trudem wracał do rzeczywistości. Zmęczenie jeszcze nie minęło. Przed paroma  
godzinami przyleciał z Meksyku i nie czuł się na siłach, by wprost z za sterów  
samolotu przesiąść się do auta. Po długim locie był tak wykończony, że wołał  
nie ryzykować jazdy do domu w North Centerton w Luizjanie, postanowił  
najpierw trochę się przespać. Sam, jego współnik, nie dał się sprowokować, jego  
głos brzmiał jak zwykle spokojnie.

- Skoro pan mówi, że to lata, to w porządku, nie będę się spierać. Tylko że  
wcale na to nie wygląda. - Kobieta umilkła na chwilę. - Ale, tak czy inaczej,

muszę lecieć - dodała z przekonaniem. - Fatalnie się składa, że pana pilot będzie dopiero jutro, bo to sprawa życia i śmierci!

Ten głos wydał mu się dziwnie znajomy. Powoli dochodził do siebie. Ach, no tak. To ta pasażerka, która miała dzisiaj lecieć na wyspę San Gabriel, a potem do Belize. Miguel już załadował jej bagaże.

Rzeczywiście tak się nieszczęśliwie złożyło, że drugi pilot ma spóźnienie i nie da rady stawić się na czas. Nic dziwnego, że kobieta nie jest zachwycona.

Postąpił parę kroków w kierunku wyjścia. Słyszał, jak Sam mówi:

- Pani Rose, Miguel byłby na miejscu, gdyby to tylko było możliwe. To jego stała trasa. I tak powinna się pani cieszyć, że tak szybko pani polecie. Miguel bardzo chętnie się zgodził. W ciągu roku ma kilka lotów na misje różnych kościołów w tym rejonie. Normalnie musiałyby pani naprawdę długo czekać, tym bardziej że wasz pilot wyjechał. Więc chyba nic się nie stanie, jeśli polecie pani dzień później.

- Ale te dzieci na mnie czekają - upierała się kobieta. - Wiedzą, że po nie jadę. Za nic nie chcę sprawić im zawodu. W dodatku nie chodzi tylko o dzieci i misjonarzy, również rząd wie o moim przyjeździe. A sam się pan orientuje, jaka tam jest teraz sytuacja.

Nie pójdzie z nią łatwo, nic do niej nie dociera. Gage ruszył wspólnikowi na odsiecz, ale ledwie wyszedł zza rogu, zatrzymał się jak wryty. Na wprost postawnego Sama Johnsona stała jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się do tej pory widzieć. Długie, jasne warkocze filuternie wyglądały spod bejsbolowej czapeczki z symbolem drużyny. Do tego obszerna złoto-czerwona klubowa koszulka, sprane niebieskie dżinsy i znoszone trampki.

Miał wrażenie, że patrzy na przejętego własnym strojem dzieciaka, który w dodatku ani myśli ustąpić. Przypomniało mu się powiedzenie, jakie w dzieciństwie często słyszał od mamy: uparty jak osioł.

Nie podnosiła głosu, ale zawzięta mina jednoznacznie świadczyła, że nie zamierza się poddać.

- Musi pan kogoś znaleźć. Bóg mnie tam posyła i nie zrezygnuję.

No nie, jęknął w duchu. To dopiero by się spodobało jego mamie. Tylko by jej przyklasnęła. Na tę myśl ogarnęły go wyrzuty sumienia. Kiedyś sam miał podobne podejście, też wierzył w przeznaczenie. Ale od tamtej pory minęły lata. Wiele się przez ten czas zdarzyło: służba w wojsku, odejście narzeczonej, kłamstwa wmawiane mu przez mamę i w końcu jej śmierć.

Dojrzał, wiele rzeczy przemyślał. Zrozumiał, że sam jest kowalem swego losu. Przestał się łudzić, że Bóg pochyla się nad każdym śmiertelnikiem i zajmuje się jego problemami. Wprawdzie nadal chodził do kościoła, ale drażnili go ci naiwni bliźni, ufnie patrzący w przyszłość, nie zdający sobie sprawy, a może nie dopuszczający do siebie myśli, że życie jest ciężkie i pełne zasadzek, i prędzej czy później każdy dostanie po głowie.

Zaczął się odwracać, zamierzając odejść.

W tej samej chwili dziewczyna popatrzyła na niego.

Miała oczy błękitne jak niebo. Jej spojrzenie zatrzymało go w pół kroku, przykuło w miejscu. W tej części Luizjany rzadko zdarzało się widzieć osoby o takim typie urody. Nawet on miał w sobie domieszkę kreolskiej krwi, o czym dobitnie świadczyły ciemne włosy i brązowe oczy. A ta dziewczyna wyglądała tak, jakby jej przodkowie pochodzili ze Szwecji. Była delikatnej, kruchej budowy. Jak róża. I po co ktoś taki chce jechać na San Gabriel?

- Pan jest pilotem? - odezwała się miłym głosem, nie odrywając od niego niebieskich oczu.

Gage zamrugał.

- Tak, jestem.

W jednej chwili dziewczyna rozpromieniła się radośnie. Gage niemal się wstrząsnął z wrażenia. Z triumfującą miną zwróciła się do Sama:

- Widzi pan! - zawołała. - On mnie zawiezie!

- Proszę pani... - zaczął Sam, ale dziewczyna nie słuchała. Złapała torby i już szła do samolotu, jakby wszystko było ustalone. - Gage jest moim wspólnikiem - głośniejszym tonem oznajmił Sam, próbując ją powstrzymać.

Dziewczyna nawet się nie odwróciła. Sam rzucił się za nią pędem.

- Gage z reguły nie lata na misje - tłumaczył, jakby jeszcze liczył, że do dziewczyny trafią jego argumenty. - W dodatku dopiero wrócił z trasy. Dziś skoro świt przyleciał z Meksyku i jest skonany. Jedzie do domu, a zatrzymał się tylko po to, by choć trochę się przespać.

- To boska interwencja - powiedziała. Gage przewrócił oczami.

- Niestety, nie możemy... - zaczął Sam, ale dziewczyna przerwała mu w pół słowa.

- Podpisał pan umowę z Markiem Richardsonem, czy nie? Zobowiązał się pan dowieźć mnie na misję?

- Owszem - rzekł Sam.

Gage już wiedział, do czego dziewczyna zmierza.

- Czy to jego wina, że wasz drugi pilot postanowił zostać na noc w Dallas? - ciągnęła niezrażona.

- Pojawiły się problemy techniczne - bronił się Sam.

- Również nie z winy Marka. Wybrałam waszą firmę, bo tamten pilot już wcześniej latał na San Gabriel i zna ten rejon. Poza tym to firma katolicka, a w tym wypadku to dodatkowy plus. Dlatego przekonałam Marka, że będziecie najlepsi. No, ale trudno. Jeśli nadal obstaje pan przy czekaniu do jutra, nie pozostaje nic innego, jak zerwać umowę. Zwrócę się do Charleston Airlines, oni mają więcej pilotów i z pewnością polecą już dzisiaj.

Po twarzy Sama widział, że zaczyna się wahać. Doskonale go rozumiał. Trzy miesiące temu zatrudnili nowego pilota. Interes zaczynał się rozkręcać, ale plotki rozchodzą się szybko, a konkurencja nie śpi. Niech tylko się rozniesie, że nie dotrzymali warunków umowy. W dodatku Richardson słono zapłacił za ten



lot, a teraz, kiedy właściwie dopiero wchodzili w branżę, pieniądze były ogromnie potrzebne.

Charleston Airlines nie cieszyły się najlepszą opinią. Co zresztą jest i tak delikatnie powiedziane. Gage nie chciał być złym prorokiem, ale był święcie przekonany, że w każdej chwili można się było spodziewać jakiegoś wypadku. Nie chciałby, by jego siostra czy nawet jej pies znaleźli się na pokładzie samolotu tej linii. A ta dziewczyna wyglądała dokładnie tak jak czyjaś młodsza siostra.

Żachnął się w duchu.

- Polecę. - Sam się zdumiał, słysząc swój głos. Postąpił krok naprzód.

Dziewczyna rozjaśniła się w uśmiechu.

- Wspaniale! - Wyciągnęła do niego rękę. - Jestem Jennifer Rose.

Jennifer. To imię nie pasuje do niej, brzmi zbyt oficjalnie. Chyba lepiej... Jenny, przebiegło mu przez myśl, kiedy automatycznie uścisnął jej dłoń.

- To wykluczone. - Stanowczy głos Sama wytrącił go z zamyślenia.

Chciał zaprotestować, ale nie zdążył otworzyć ust, bo dziewczyna go ubiegła.

- Dlaczego? - Z niedowierzaniem popatrzyła na Sama.

- Gage, po pierwsze, jesteś zmęczony. A po drugie, ponad rok nie obsługiwałeś tej trasy - Sam zwrócił się wprost do współnika, ignorując dziewczynę.

Gage przetarł oczy. Sam ma rację, świętą rację. Ale z drugiej strony podjęli się dowieźć ją na miejsce. Umowa jest umową, powinni się z niej wywiązać. To na nich spoczywa odpowiedzialność.

- Sam, podpisaliśmy umowę.

- A jeśli się coś stanie? - nie ustępował.

- Znam trochę hiszpański.

- Ja znam go świetnie - wtrąciła Jennifer.

Sam wzniosł oczy do nieba, ostentacyjnie odwrócił się od natrętej pasażerki. Rozmawiał teraz tylko z Gage'em. Popatrzył na niego uważnie.

- Ale czy potrafisz się porozumieć? Wiem, że co nieco rozumiesz, te wasze kreolskie odzywki są trochę podobne do hiszpańskiego, ale...

- W razie czego mogę służyć za tłumacza - usłużnie zaproponowała Jennifer.

- Nie będzie takiej potrzeby - mruknął Gage, przejmując inicjatywę od Sama. Dziwne, ale nie chciał, by kumpel nadal zniechęcał dziewczynę. - A jeśli coś się wydarzy, damy sobie radę.

- Nic się nie wydarzy. Zawsze jest pan takim pesymistą? Sam odwrócił się i popatrzył na nią ze zdumieniem.

Gage spochmurniał, skrzywił się z niechęcią. Niepotrzebnie włączył ją do rozmowy.

- Dlaczego pani tak sądzi?

Widząc jego minę, uniosła w górę brwi.

- Coś mi się widzi, że nie ja pierwsza o to pytam. Musiał w duchu przyznać jej rację. Młodsza siostra też go tym zameczała.

- Powiedzmy, że jestem realistą. - Odwrócił się do Sama. - Gdzie Miguel trzyma opis trasy? Przejrzę mapy i... Na którą był wyznaczony start?

- Za dwadzieścia minut. - Jennifer podeszła bliżej, stanęła z boku, tuż przy nim. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, Gage... Tak masz na imię, prawda? Bardzo ładne. Jest sprawą ogromnej wagi, bym znalazła się tam jak najszybciej. Dziękuję, że zgodziłeś się lecieć.

- Nie miałem wyboru. Postawiła mnie pani pod ścianą, panno...

- Jennifer. Wszyscy mówią mi po imieniu. Pani Rose brzmi zbyt oficjalnie.

Sam uśmiechnął się.

Gage chrząknął, by zyskać na czasie. Irytował go ten znaczący uśmieszek kumpla.

- Pani Rose, wystartujemy za dwadzieścia minut, jeśli tylko to będzie możliwe. - Popatrzył na Sama. - Samolot jest po przeglądzie?

- Miguel szykował go od wczoraj. Już wcześniej załadował bagaże i ładunek przeznaczony dla misji. Rano zatankował paliwo.

- Dzięki, Sam. - Ruszył w stronę biura. Jennifer podążyła za nim.

Celowo ją ignorował. W milczeniu wyszukał potrzebne dokumenty, przejrzał mapy.

- Jak długo potrwa lot? - zapytała wreszcie, przerywając ciszę.

Wzruszył ramionami.

- Będzie pani na czas.

- To dobrze - odparła i uśmiechnęła się niewinnie. - Proszę mi powiedzieć, ile razy leciał pan na San Gabriel?

- Wystarczająco dużo.

- Ja wielokrotnie latałam do Belize, a stamtąd na San Gabriel. To wyspa gdzieś między Gwatemalą, Belize i Hondurasem.

Gage znieruchomiał, popatrzył na nią spod oka.

- W ten sposób można zlokalizować połowę wysp w Ameryce Środkowej.

Dziewczyna wcale się nie przejęła.

- To oczywiście w przybliżeniu. Ale w skali całego świata mniej więcej wiadomo, gdzie to jest. To rejon lasów deszczowych. Żar leje się z nieba i straszna wilgoć. Wszędzie ciągnie się dżungla. Średnia płaca to jakieś dwa dolary na miesiąc, ale z pracą krucho. Ludzie utrzymują się głównie z eksportu owoców.

- Raczej z przemytu broni - sprostował, wychodząc z biura i kierując się na pas startowy w stronę niewielkiego samolotu.

Jennifer starała się dotrzymać mu kroku.

- Nowy rząd stara się to ukrócić - powiedziała.

- Bo sam nic z tego nie ma. W dodatku napływ broni wzmacnia siły rebeliantów, którzy za główny cel stawiają sobie obalenie rządu.

- Zawsze jesteś tak negatywnie nastawiony?

- A ty zawsze taka naiwna? Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Raczej utrzymuję, że patrzę pozytywnie. Lepiej brzmi. Gage mruknął coś do siebie.

Położył na miejsce mapy i papiery, sięgnął po bagaże pasażerki. Chciał załadować je do tylnego luku, ale nie znalazł kluczy. Prychnął pod nosem i wrzucił je do środka.

- W tych torbach są ubranka dla dzieci - wyjaśniła Jennifer, tłumacząc ilość walizek. - To była bardzo biedna rodzina. Dzieci mają tylko to, co na sobie. Oczywiście, tam to nikogo nie dziwi. Poza tym wiozę rzeczy zebrane przez kościół dla misjonarzy w Belize - dodała, wskazując na pudła.

- Czy ja o to pytałem? - Nie pojmował, dlaczego ta kobieta ani na chwilę nie zamknie buzi.

- Nie musiałeś, prawda? - skinęła głową, potwierdzając.

Zwariuje przy niej, nim oderwą się od ziemi. Ściągnął kurtkę, cofnął się i gestem zaprosił dziewczynę, by wsiadła do środka. Wewnątrz były tylko dwa miejsca. Cały tył zajmował ładunek przeznaczony dla misji. Mocna siatka przytrzymała obwiązane linami pudła z bagażem, by zapobiec ich przesuwaniu w czasie lotu.

Jennifer weszła do środka. Właściwie nie weszła, a wpadła jak bomba. Ilość energii, zgromadzona w tak drobnej osobce, była wręcz imponująca. Pewnym krokiem przeszła przez pokład i pośpiesznie opadła na fotel, jakby już nie mogła doczekać się startu.

Gage starannie zamknął drzwi, oparł się o ścianę. Uśmiechnął się.

Jennifer odpowiedziała mu uśmiechem.

- Możemy ruszać, Gage?

- To zależy, *cherie* - odparł.

- Od czego? - Wysoko uniesione brwi niemal schowały się pod czerwono-złotym daszkiem czapki.

- Masz zamiar pilotować, czy puścisz mnie na moje miejsce?

Zaróżowiła się lekko.

- Och! - Poderwała się ze śmiechem, wskoczyła na drugi fotel. - A teraz?

Jeszcze nie zdążył otrząsnąć się z wrażenia, jak łatwo jej to przyszło.

Przesiadł się na swoje miejsce, sięgnął po pas.

- Mogłabyś zapiąć pasy?

Dziewczyna demonstracyjnie rozejrzała się wokół, ale pasa nie znalazła.

Gage westchnął, pochylił się i wyciągnął go zza fotela. Rzadko się zdarzało, by poza pilotem jeszcze ktoś leciał. Zapiął jej pas. Delikatny, kwiatowy zapach, jaki owionął go, gdy nachylił się nad dziewczyną, wytrącił go z równowagi. Już tak dawno nie czuł czegoś tak słodkiego i niewinnego zarazem. Jej oddech ogrzewał mu policzek, lekkie pasmo włosów musnęło go po brodzie. Ręce, którymi pomagała mu przeciągnąć pas, były nadszpodziewanie miękkie. Odsunął się, zdezorientowany.

- Dlaczego tak się marszczysz? - zapytała z wyraźnym niepokojem.

Popatrzył na nią. Coś ją zastanawiało. Zabrał się za uruchomienie silnika.

- Tak sobie, bez powodu. Jestem zmęczony, to wszystko. Przed nami daleka droga. W dodatku lecimy w niebezpieczne rejony.

- Będzie dobrze, zobaczysz. Nie ma się czym martwić. Już ci mówiłam, że biegle znam hiszpański. Nie dopuszczę, by się coś stało.

Rozbawiło go to buńczuczne oświadczenie. Ona gwarantuje mu bezpieczeństwo. Miło z jej strony. Odwrócił się, by spojrzeć na dziewczynę. Miała opuszczoną głowę, przymknięte oczy. Przez chwilę był pewien, że zasnęła, dopiero po jakimś czasie tknęło go, że chyba się modli.

- Co ci jest? Rozmyśliłaś się? Wolisz ze mną nie lecieć?

Niepotrzebnie zabrzmiało to tak ironicznie, wcale tego nie chciał. Ale cóż miał poradzić. Nie mieściło mu się w głowie, że ludzie potrafią być tacy naiwni, z taką ufnością wierzą, że Bóg rzeczywiście się nimi przejmuje.

Ty też się kiedyś modliłeś, nieoczekiwanie szepnął wewnętrzny głos.

- Nie, wcale się nie rozmyślałam. Czuję się z tobą zupełnie bezpieczna. Modliłam się, by moja misja się powiodła.

Trzeba było ugryźć się w język, zbeształ się w duchu. Zbiła go z tropu. Jego mama wyrażała się w bardzo podobny sposób. Przez ostatnie pół roku służby w wojsku przysłała mu wiele listów. W każdym zapewniała, że wszystko jest dobrze, że Bóg nad nimi czuwa. Przez cały ten czas go oszukiwała. Kiedy wreszcie dowiedział się prawdy, było już za późno. Okłamała go. Czuł się wtedy fatalnie, miał poczucie, że został przez nią zdradzony. Od tamtej pory trzymał się z daleka od takich jak ona, jak ta kobieta obok. Ma własne życie, pracę, która go pochłania. I to mu całkowicie wystarczy. Tak zdecydował, nieodwołalnie. To nie był gest rozpacz, ale świadomy wybór. To, co było, więcej się nie powtórzy. Nikomu nie pozwoli się oszukać, nie będzie ryzykować. To jedyny sposób, by nie przeżyć zawodu, kolejnych rozczarowań. Dość się nacierpiał.

Z uporem odsuwał od siebie natrętne myśli, że przecież może być jeszcze inne wyjście, że może jednak niepotrzebnie się uprzedza, odgradza od innych. Już dawno podjął decyzję, już się nie cofnie.

- Trzymaj się teraz - uprzedził Jennifer i wprawił maszynę w ruch. Niebawem byli w powietrzu.

- Och, jak pięknie! - wykrzyknęła z zachwytem, nie odrywając oczu od widoku za oknem. - Popatrz na te chmury! Jak z puchu! A te drzewa na dole, jakie malutkie!

- Ale z ciebie dzieciak! Ciekawy jestem, jak twoi rodzice zgodzili się na tę eskapadę? - Uśmiechnął się bezwiednie. Zupełnie zapomniał o wcześniejszym postanowieniu, by się z nią nie spoufalać. Jednak chętnie dowiedziałby się o niej

czegoś bliższego. W końcu to niczym nie grozi. Za kilka dni zniknie mu z oczu, nie ujrzy jej więcej.

- Rodzice nie żyją. A ja mam prawie trzydzieści lat - rzekła.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Ach tak?

- Mam pokazać dowód?

- Jeśli ty masz trzydzieści, to ja czterdzieści.

- Nie powiedziałam, że trzydzieści. Dokładnie dwadzieścia sześć.

Nadal nie mógł w to uwierzyć.

- A ty ile masz lat?

- Co to ma za znaczenie?

- To ty zacząłeś pytać. Wzniósł oczy do nieba.

- Wystarczająco dużo. - Nie miał zamiaru mówić, że jest zaledwie sześć lat starszy. - Wiesz co - spróbował zmienić temat. - Lepiej od razu przygotuj się na to, co cię czeka. Będzie okropnie parno i gorąco. Jak to w dżungli... że nie wspomnę o owadach i pająkach. - Sam nie wiedział, dlaczego opowiadał jej takie nieprzyjemne rzeczy. Chyba zaczynał go drażnić jej radosny nastrój.

- Upał mnie nie przeraża. Tak samo pająki czy inne owady. Tylko węży nie lubię. Na szczęście odpędzają je, by chronić dzieci.

- Boisz się węży?

Jennifer uśmiechnęła się blado.

- Uhm. Nie lubię ich. Daleko jeszcze mamy? - Wyrzała przez okno.

Gage uśmiechnął się mimo woli, choć wcześniej postanowił zachować wobec niej dystans.

- Zdrzemnij się. To jeszcze trochę potrwa.

- W samolocie nigdy nie śpię. Nie jestem w stanie się rozluźnić. Zawsze jest tyle ciekawych rzeczy, które człowieka skutecznie rozpraszają.

Ledwie zdołał się opanować, by nie jęknąć. Tego się właśnie obawiał.

Jennifer ukradkiem zerknęła na siedzącego obok mężczyznę. Ale przystojniak! Tylko bliźniacy, Max i Rand Stevensowie, mogli się z nim równać. Max był jej poprzednim szefem. Poszła do niego pracować po śmierci mamy, kiedy musiała zamknąć prowadzoną przez nie świetlicę dla dzieci. Choć przyrzekła, że nigdy do tego nie dopuści...

Ruina finansowa. Tyle razy słyszała to określenie, ale nigdy nie miało dla niej żadnego konkretnego znaczenia. Jeden z wielu terminów związanych z biznesem. Dopiero gdy sama stanęła twarzą w twarz z koniecznością likwidacji świetlicy, na własnej skórze poczuła, co to znaczy. Miała wtedy dziewiętnaście lat, właśnie straciła matkę. Pozostał jej tylko narzeczony. Ale Ben ją wtedy zawiódł. Bez przerwy wbijał jej do głowy, że ze względu na różne okoliczności nie zdoła dotrzymać obietnicy złożonej mamie na łożu śmierci, i z uporem przekonywał, że powinna się z tym pogodzić.

Większość rodziców uznała, że jest za młoda, by samodzielnie prowadzić klub, że nie da sobie rady. Jedyne nieliczni zdecydowali się powierzyć jej swoje dzieci. Została ich ledwie garstka. W tym momencie los świetlicy był przypieczętowany. Nie było szans, by mogła dalej ją prowadzić. Świat Jennifer zaczął się walić.

Przeżywała wtedy trudne chwile. Rozpacz po utracie mamy łączyła się z żalem i bezradnością. W dodatku obwiniała się o przypadkową śmierć małego dziecka, przekonana, że nie doszłoby do niej, gdyby nie złamała przyrzeczenia i świetlica nadal by działała. To wtedy ostatecznie odszedł od niej Ben. Szczęście, że los się nad nią ulitował i znalazła pracę u Stevensów.

To nowe zajęcie dawało jej prawdziwą satysfakcję. Powoli dochodziła do siebie, stopniowo odzyskiwała spokój. Rand i Max okazali się wspaniałymi ludźmi. Niestety, szczęście znów się odwróciło. Max miał wypadek, stracił żonę i wzrok. Długo trwało, nim znowu zaczął widzieć i wrócił do pracy. Przez cały ten czas pracowała wytrwale, ale nie zastanawiała się ani chwili, gdy ponownie zaproponowano jej pracę z dziećmi. Max odnowił znajomość z Kaitland, dawną



narzeczoną, prowadzącą świetlicę przy parafii. Wkrótce postanowili się pobrać i Kaitland, która chciała zająć się domem, zaproponowała Jennifer swoje miejsce.

Mogła więc znowu oddać się temu, co jej najbardziej odpowiadało. Całym sercem kochała tę pracę, ale mimo to zdarzały się chwile, gdy czuła się bardzo samotna. I choć czytała w Biblii, że Bóg może być dla człowieka wszystkim, czasami marzyła, że znajdzie kogoś, za kogo wyjdzie.

To naturalne pragnienie było jednak podszyte ukrytym lękiem. Bała się, by nie skończyło się tak jak z Benem. Czy zdoła jeszcze raz komuś zaufać? Ben tak często zapewniał, że chodzi mu tylko o jej dobro... Ale przecież na ziemi muszą istnieć także inni, lepsi, nie tylko tacy jak on.

Ostatnio sama nie mogła dojść ze sobą do ładu. Między innymi dlatego tak się wyrywała, by jechać na San Gabriel. Gnało ją po świecie, nie mogła usiedzieć w miejscu. Przynajmniej przez parę dni będzie inaczej, przeżyje jakąś przygodę. Zresztą zależało jej, by przywieźć Richardsonom te biedne dzieciaki. Znali się od lat. Oni również widzieli, że Jennifer potrzebuje odmiany, świeżego oddechu, czegoś innego.

Los sprawił - jeszcze nie wiedziała, czy szczęśliwy, czy może pechowy - że znalazła się u boku tego wyjątkowego faceta. Do tej pory żaden nie zrobił na niej takiego wrażenia jak on. Wysoki, dobrze zbudowany, o szerokich barach. No i wyjątkowo przystojny. Ubrany w dżinsy i robocze buty. Do tego jasna koszula z krótkim rękawem, odsłaniającym ładnie umięśnione ramiona. Sądząc po zgrabnej sylwetce, z pewnością regularnie się gimnastykuje.

Boże, dlaczego tak się dzieje? Dlaczego człowiek ciągle musi mieć takie dylematy? Dlaczego musi tak być, że on mi się podoba, a jest takim cynikiem?

Nie powinna stawiać takich pytań. A mimo to nie mogła się oprzeć, nie mogła przestać o nim myśleć. Pewnie ma jakieś trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. I jest w świetnej formie. W takim razie fizyczna przyczyna jego nastawienia do życia raczej nie wchodzi w grę.

Więc jeśli nie to, to może ma za sobą nieudane małżeństwo?

Nie, to wykluczone. Żadna kobieta nie pozwoliłaby mu odejść. Pod szorstkim obejściem wyczuwała w nim łagodne serce. Gdyby tak nie było, gdyby rzeczywiście był takim, za jakiego starał się uchodzić, nie zgodziłby się lecieć, wcale by się nie przejął. I już dawno kazałby jej się zamknąć, przestać paplać. To jej słaba strona. On o tym oczywiście nie wie, ale zawsze, kiedy się denerwuje, buzia się jej nie zamyka. A w towarzystwie takiego mężczyzny każdy by się denerwował.

- Masz rodzinę? Mruknął coś w odpowiedzi.

Chyba nie ma, pomyślała. A więc może przeżył jakąś rodzinną tragedię?

- Mam siostrę - wymamrotał.

Czyli pudło. Chyba że cała rodzina nie żyje i na niego spadła odpowiedzialność za wychowanie siostry.

- W jakim jest wieku? Popatrzył na nią z rezygnacją.

- Dwa lata młodsza ode mnie.

- Wychowywałaś ją?

- Nie, skądże - obruszył się. - Mama nas wychowywała. Czy to już koniec pytań?

Uśmiechnęła się. Nic na to nie mogła poradzić.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Tak sobie. - Za nic by mu tego nie powiedziała. Dopiero by się najeżył! Kiedyś, jeszcze w szkole, miała podobną do niego koleżankę. Też stale spiętą. Minęło sporo czasu, nim zrozumiała, że Alissa trzymała ludzi na dystans z obawy, by ktoś nie sprawił jej przykrości. Dlatego na wszelki wypadek zawczasu każdego skutecznie do siebie zniechęcała. - Chyba jednak spróbuję się zdrzemnąć - dokończyła.

Zamknęła oczy. W ten sposób nie będzie na niego patrzeć. Ale jednego nie wzięła pod uwagę: jego zapachu. Gage był tak blisko, że czuła zapach wody po goleniu. Pewnie wziął prysznic po nocnym locie. Kolejny plus dla niego.

Czyścioszek, przy tym ma dobre serce. Pewnie wychował się w religijnej rodzinie.

Co jej chodzi po głowie?

Otworzyła oczy. Powinna skoncentrować się na oczekujących ją dzieciach. Obiecała Richardsonom, że je przywiezie, i wywiąże się z przyrzeczenia. Już nigdy nie złamie obietnicy. Przysięgła to sobie tamtego dnia, kiedy...

Zmusiła się, by zamknąć oczy. Powoli się uspokajała, wreszcie zmorzył ją sen.

Ale, jak to zwykle bywało, gdy była spięta, sen nie przynosił ulgi. Poruszała się niespokojnie, próbując odgonić od siebie powracające koszmarne wizje. Wiedziała, co nastąpi dalej, ale nie mogła zatrzymać natrętnych obrazów.

Ciemną izbę wypełniała gęsta, biała mgła. Oblepiała jej ręce i twarz; czuła jej nieprzyjemny, zimny dotyk, gdy rozgarniając ją, by zrobić sobie przejście, szła tam, skąd dobiegało nabrzmiałe rozpaczą i lękiem wołanie. Starła się dojrzeć coś przez przesłaniające wnętrze opary.

- Gdzie jesteś, kochanie? Odezwij się, proszę. Chodź do mnie. Słyszę cię, ale nie widzę. To ja, Jennifer. - Poruszała się po omacku, coraz bardziej niespokojna, nigdzie nie dostrzegając płaczącego dziecka. - Jestem tutaj, kochanie. Odezwij się, gdzie jesteś?

- Pani Rose?

Nieoczekiwanie mgła się rozstąpiła. Znalazła dziecko. Pochyliła się i z przerażeniem zobaczyła, że...

- Pani Rose? Jennifer!

Naraz poczuła gwałtowny ból. Ktoś ścisnął ją za ramię. Chciała krzyknąć, ale krzyk zamarł jej w gardle.

- Jennifer!

Otworzyła oczy, ujrzała zaciśnięte na ramieniu palce Gage'a. Miała mokre od potu dłonie. Na zewnątrz było ciemno.

- Co, co się stało? Jesteśmy na miejscu? Gage z ponurą miną pokręcił głową.

- Wolałbym tego nie mówić, ale coś się dzieje z silnikiem. Nie damy rady dolecieć na drugą stronę wyspy. Jest szansa, ale bardzo nikła, że uda się wylądować na jej środku. Mają tam coś w rodzaju lotniska, już je minęliśmy.

- To dobrze. - Była przerażona, ale nie chciała tego po sobie pokazać.

- To nie jest takie pewne. Jeśli jest w rękach rządowych, to w porządku.

Ale tego teraz nie wiemy.

Pochyliła głowę, zaczęła się modlić w duchu. Naraz silnik zachłysnął się i zgasł.

- No cóż, mówię to z przykrością, ale chyba przyjdzie ci zobaczyć jakiegoś węża.

- Co ty opowiadasz? Co to znaczy?

- To znaczy, że spadamy.

RS

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Jennifer? Pani Rose? Jenny, odezwij się, Jenny. *Cherie*, powiedz coś.

Głos dochodził do niej jak przez mgłę, z daleka, przebijał się przez nieokreślony, ćmiący ból. Skąd ona zna ten głos? Męski, z trudem skrywający niepokój, o przyjemnym brzmieniu... taki miły dla ucha?

Powoli otworzyła oczy.

- Co... co się stało? - Dlaczego jej głos jest ledwie słyszalny, dziwnie drżący? I skąd się wzięła w tym samolocie, co ona tu robi?

Otworzyła szerzej oczy, zamrugała gwałtownie, bo uniesienie powiek wywołało nieoczekiwany ból. Dobrze, że przynajmniej może mrugać. Naraz ją oświeciło, przypomniała sobie, gdzie jest.

- Nie zdążyliśmy dolecieć do lotniska.

Z oniemiałą miną wpatrywała się w resztki szyby przed sobą. Nie mogła zebrać myśli, znaleźć słów. Mimowolnym gestem wyciągnęła rękę, dotknęła zielonych gałęzi, kołyszących się tuż przy jej twarzy.

- Spadliśmy na drzewa?

- Tak, choć trudno w to uwierzyć. Wisimy na gałęziach. Muszę cię wyciągnąć. Nic ci nie jest?

Jennifer przebiegła wzrokiem po swoim ciele; jeszcze nie całkiem otrzeźwiona, ostrożnie, jeszcze z niedowierzaniem, przeciągnęła po sobie dłonią.

- Nie, chyba nie. Z wyjątkiem głowy.

Poczuła, że zdejmuje jej z głowy czapkę, uważnie przesuwając palcami po włosach. Jaki miły jest dotyk tych mocnych, ciepłych dłoni!

Przymknęła oczy, uspokojona. Ten ludzki kontakt przywracał siły, łagodził szok. Oparła się o swego towarzysza niedoli.

- Nabiłaś sobie niezłego guza - powiedział, w skupieniu macając palcem skórę głowy. - Sam nie wiem, jak to możliwe, ale skóra nawet nie jest przecięta  
- dodał ze zdumieniem w głosie.

- To cud - wyszeptała.

- Cud byłby wtedy, gdybyśmy dolecieli do pasa, szczęśliwie wylądowali, i nikt niepożądany by na nas nie czekał - parsknął Gage.

Ociągając się, odsunęła się spod jego łagodnej dłoni.

- Może dla ciebie tak jest - zaproponowała. - Ale dla mnie największym cudem jest to, że przeżyliśmy katastrofę i wyszliśmy z niej cało.

- Może gdybyś modliła się żarliwiej, w ogóle by nie doszło do katastrofy.

Jennifer wzruszyła ramionami.

- Albo gdybym modliła się nie o powodzenie mojej misji, tylko o szczęśliwe lądowanie - zareplikowała i uśmiechnęła się nieznacznie, jakby zapominając o powadze sytuacji. - Teraz tego nie rozstrzygniemy To co robimy? Mówiłeś, że musimy opuścić samolot?

To pytanie przywróciło go do rzeczywistości. Już sam prawie zapomniał, że trzeba szybko działać.

Jennifer uśmiechnęła się szerzej. Spróbowała wstać, zamrugowała gwałtownie, zaskoczona.

- Myślałam, że ze mną lepiej.

Wyciągnął ku niej rękę, cofnął ją i znużonym gestem przesunął palcami po włosach.

- Wisimy w miarę nisko, da się zejść. Tylko najpierw przejrzyjmy bagaże i weźmy, co może nam się przydać na drogę. Mam na myśli wyłącznie rzeczy naprawdę niezbędne. Dalej pójdziemy pieszo.

- Nie, to rzeczy dla misjonarzy - zaprotestowała, pomasaowała ręką czoło.

- Może lepiej poczekać na ratowników? - zapytała, bo nieraz słyszała, że w razie wypadku nie należy się oddalać, tylko czekać na pomoc.

- Chyba zapomniałaś, gdzie jesteśmy i co się tu dzieje. Im dalej znajdziemy się od samolotu, tym lepiej dla nas. Z każdej strony grozi nam niebezpieczeństwo. Jeśli nie wpadniemy w ręce rebeliantów, siły rządowe mogą się łatwo pomylić i wziąć nas za ich popleczników. Na wszelki wypadek od razu się z nami rozprawią.

Znieruchomiała. Dopiero teraz dotarła do niej groza ich położenia. W milczeniu przeszła na tył, gdzie Gage już otwierał pudła z bagażami i metodycznie wykladał na podłogę ich zawartość. Potrzebne na drogę rzeczy upychał do podręcznego plecaczka.

- Poczekaj, ja to zrobię. Wiem, gdzie co jest.

Popatrzył na nią sceptycznie i bez słowa wrócił do swego zajęcia.

Sięgnęła po leżący pod ścianą drugi plecak wypchany ubraniami. W razie czego przydadzą się zamiast bandaży. Przecież trudno przewidzieć, co ich czeka. Wyjęła ze swojej walizki trzy ubranka dla dzieci i upchnęła na dno plecaka.

Gage skierował latarkę w jej stronę.

- Co ty tam robisz?

- Pakuję najpotrzebniejsze rzeczy - mruknęła, nie zamierzając wdawać się w szczegóły. Po co narażać się na komentarze. Dołożyła jeszcze szczoteczkę do zębów, pastę, grzebień i myjkę, do tego kilka kosmetyków. Starła się, by plecak był jak najlżejszy. Najbliższa osada może być kilka kilometrów stąd.

- No nie!

Poderwała się, słysząc nieoczekiwany okrzyk.

- Co to takiego?

Odwróciła się. Gage grzebał w otwartym pudle.

- Nie, to niemożliwe... Jak to się stało?

Zaniepokojona, podeszła do niego.

- Co takiego? Wyjął coś ze środka.

- Wygląda, że ktoś zapakował nam przesyłkę dla rebeliantów. Popatrzyła na trzymany przez niego przedmiot.

- Broń i amunicja - wyjaśnił zgryźliwie, przerywając przeciągającą się ciszę.

Odwrócił się do dziewczyny, popatrzył na nią zwężonymi oczami.

- No, panienko, udało ci się mnie zwieść. Patrzyła na niego ze zdumieniem. Nic nie rozumiała.

- Kiedy wreszcie przestanę się nabierać na słodkie oczy? - mruknął posepnie.

- Myślisz, że mam z tym coś wspólnego? - wybuchła, urażona jego podejrzeniami i zdenerwowana niespodziewanym odkryciem. Ktoś musiał to podłożyć.

- A nie? Sama mi wcześniej mówiłaś, że regularnie jeździsz do Belize. Więc chyba wiesz, że od dłuższego czasu trwają tu zamieszki.

Popatrzył na nią dziwnie. Nie wiedziała, co kryło się pod tym spojrzeniem. Gorycz? Rozczarowanie?

- Poza tym biegle znasz hiszpański. I nie chciałaś, bym otwierał pudła. Musiała się bronić.

- Jeździłam do misjonarzy. Nauka języków zawsze mnie pociągała. A co do tych pudeł, to nie chciałam, żebyś wszystko powyciągał na łapu-capu, bo potem będzie trudno nam to pozbierać.

- Albo komuś - zripostował.

- Ja nie kłamię - oświadczyła z godnością, coraz bardziej na niego wściekła.

- Już to słyszałem - uciął. Ale na pewno nie od niej.

- Nie obchodzi mnie, kto ci to kiedyś powiedział - odparła.

- Ja mówię prawdę.

- Daruj to sobie. - Machnął ręką ze złością. Wrzucił pistolet do pudła. Twarz miał w mroku, podkreślonym bladym światłem latarki.



Jennifer chciała podejść, ale zawahała się w pół kroku.

Czuje się przez nią oszukany. Wiedziała, co to znaczy. Doświadczyła tego na własnej skórze, gdy nieufni rodzice zabrali ze świetlicy swoje dzieci, nie dowierzając jej umiejętnościom. Tak samo zawiódł ją Ben. Sądząc po minie, Gage też już wcześniej na kimś boleśnie się zawiódł.

Powoli jej złość się rozviała. Czy jest sens się teraz spierać, skoro ich życie znalazło się w niebezpieczeństwie? Jest tyle ważniejszych rzeczy.

Panie, proszę cię, pomóż mi; spraw, by mi zaufał, błagała w duchu.

Gage uniósł głowę, wyprostował się.

- Musimy stąd zmykać. I to jak najszybciej. Weź ze sobą, co możesz. Ktoś czekał na ten samolot i pewnie zaczyna się niepokoić. Wiadomość o wypadku szybko się roznosi. Zaraz złączą nas szukać.

- Zabierzesz mnie z sobą? - zdumiała się z ulgą, że jednak nie zostawi jej na pastwę losu.

Popatrzył na nią dziwnie.

- Oczywiście, jakżeby inaczej?

- Gdybyśmy zwrócili się do władz...

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możemy nikomu zaufać - przerwał niecierpliwie. - Bardzo prawdopodobne, że wpadniemy prosto na tego, kto to wszystko nakręcił. - Wskazał na pudła. - Musimy jak najszybciej stąd zniknąć, dotrzeć do jakiegoś większego miasta, a stamtąd znaleźć kontakt z którymś z moich ludzi, by nas stąd zabrano.

Jennifer znieruchomiała, patrzyła na niego z osłupieniem.

- Zaraz, chwileczkę - powiedziała. - Przecież na nas czeka trójka małych dzieci.

- Tam, gdzie są, nic im nie grozi. Za to my jesteśmy w niebezpieczeństwie. A tobie po tym, co tu znalazłem, niestety nie mogę ufać.

- Mówiłam ci, że nie mam z tym nic wspólnego.

- W takim razie może mi powiesz, w jaki sposób ta broń znalazła się w darach dla misjonarzy? - Skrzywił się ironicznie.

- Nie mam pojęcia - odparła. Gage potrząsnął głową.

- Dobra jesteś. Niewiele brakuje, bym ci uwierzył. Ale zostawmy to teraz, szkoda czasu. Musimy dostać się do miasta, odszukać amerykańskie przedstawicielstwo. Nie ma innego wyjścia.

Instynktownie czuła, że ta szorstkość nie była zamierzona. Sięgnęła po swój plecak.

- Daj mi coś powiedzieć. Miałaś dowieźć mnie do Lahary, bym zabrała dzieci. Zobowiązałam się, że to zrobię, i słowa dotrzymam. To jest dla mnie najważniejsze. Nie obchodzi mnie ta broń. A ty skoncentruj się na wypełnieniu umowy. Powinieneś doprowadzić mnie na misję.

Gage wybałuszył na nią oczy.

- Ty chyba żartujesz, co?

Jennifer skrzyżowała ramiona, milczała z uporem.

- Zamierzam dotrzeć do najbliższej osady i stamtąd dojechać do miasta. Przyszłość mojej firmy jest zagrożona. Kiedy to się wyjaśni - wskazał na broń - i jeśli cię puszczą, wtedy pomyślisz o tych dzieciach.

Nie powinna czuć się rozczarowana, w końcu to dla niej obcy człowiek. Ale czemu jest tak bardzo podobny do Bena? Jego firma, jego interesy. Tak jakby to było najważniejsze. Myśli tylko o tym, gdy tymczasem życie tych dzieci może wisi na włosku. Poczła skurcz w żołądku.

- Misja Lahara jest bezpiecznym miejscem. To naprawdę duża osada - próbowała go przekonać. - A ja nie jestem przemytniczką!

- Lahara leży znacznie dalej niż najbliższe miasto - zareplikował. - A ta broń nie potwierdza twoich słów, wprost przeciwnie, świadczy przeciwko tobie.

- Tylko że *federales* zapewne przyjdą od strony miasta - stwierdziła z sarkazmem. - Skoro obawiasz się policji, czemu nie chcesz mnie posłuchać i iść w stronę misji? Czy do Lahary jest dużo dalej?

Mruknął coś pod nosem.

- Co powiedziałeś? - nie zrażała się.

- Po tym terenie? Pewnie o jakieś dwanaście godzin marszu.

- To nie tak dużo... zwłaszcza gdybyśmy znaleźli kogoś, kto mógłby nas zawieźć.

- Tutaj pojazdy mają tylko *federales* i rebelianci. Wzruszyła ramionami.

- Słuchaj, tracimy czas.

Poruszył się, jakby naraz zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie z nią dyskutuje. Wrzucił do plecaka jeszcze kilka rzeczy, założył go sobie na plecy. Podszedł do częściowo nietkniętej ściany samolotu, wziął wiszącą tam raketnicę, zestaw pierwszej pomocy i maczetę.

- Bierzesz maczetę? - zdumiała się.

- Na wszelki wypadek. Może się przydać do przecinania lin - wyjaśnił zdawkowo.

Podszedł do wyrwanych drzwi, wyjrzał w ziejącą za nimi ciemność. Samolot zachwiał się, coś zaskrzypiało złowieszczo. Gage zgasił latarkę, włożył ją do plecaka. Popatrzył na dziewczynę.

Na tle rozświetlonego gwiazdami nieba jego sylwetka wydała się jeszcze potężniejsza.

- Zejdziemy po linie, którą są powiązane pudła z bagażem. Ty pierwsza. Jak tylko znajdziesz się na dole, jak najszybciej odejść na bok. Nie wiadomo, jak mocno trzyma się samolot. Ja zejść zaraz po tobie.

- Nie boisz się, że sobie pójdę? - zapytała z niewinną miną, choć w głębi duszy wiedziała, że nie powinna go prowokować.

Ale gdyby rzeczywiście przestała sobie zawracać nim głowę i ruszyła na własną rękę? Jeszcze nie zrezygnowała z dotarcia na misję, choć on nie chce o tym słyszeć.

Zamruczał coś pod nosem. Uśmiechnęła się do siebie. Dobrze, że w tej ciemności nie widzi jej twarzy. Ta cała sytuacja wydawała się jej czymś tak nieprawdopodobnym, że aż nierealnym.

Podeszła do wyjścia. Jak może sądzić, że jest przemytniczką! Przecież mówi prawdę i nikogo nie kryje. Jak trzymać z kimś, kto nie ma do niej odrobiny zaufania? Po raz kolejny? No i co ja teraz powinnam zrobić? - lamentowała w duchu.

Cierpliwości, szepnął wewnętrzny głos.

- No to jak? - odezwał się Gage.

Otarła spocone dłonie o uda. Miała nadzieję, że nie widzi jej zdenerwowania. Jeszcze nigdy nie schodziła po linie. Przyszedł czas, by spróbować to zrobić.

- Masz. - Gage podał jej linę. - Trzymaj ją mocno. Na dole poczekaj na mnie.

Ujęła linę, popatrzyła na niego niepewnie.

- Tylko niczego nie próbuj - powiedział ostrzegawczo, patrząc na nią nieufnie.

- Nie bój się, poczekam na dole - odparła, żalując poniewczasie głupich żartów.

Popatrzyła w dół. Jak to wysoko! Chyba najlepiej od razu skoczyć. Wzięła głęboki oddech i trzymając linę, postąpiła krok w ciemność.

Głośny krzyk przeszył nocną ciszę.

- Co ty znowu...?

Z przerażeniem patrzył za znikającą dziewczyną. Rozpaczliwy krzyk przez mgnienie rozdzierał ciemność; rozległ się głuchy odgłos, gdy uderzyła o ziemię.

- O Boże, nie! A mówią, że masz w opiece dzieci i głupców!

Pośpiesznie chwycił luźną już linę, ostrożnie ześlizgnął się po niej w dół. Zeskoczył, gdy na ziemi spostrzegł leżącą dziewczynę. Przykląkł obok niej.

- Jennifer? - Przesunął palcami po jej głowie, szukając obrażeń. Przeraził się, bo dziewczyna nawet nie drgnęła.

Wreszcie z jej ust wyrwał się cichy jęk. Zamrugła. Odetchnął z ulgą, wezbrała w nim złość.

- Co ci przyszło do głowy, dlaczego skoczyłaś? - zawołał, wbijając wzrok we wpatrzone w niego oczy. - Co ci się stało? - dodał zaraz, przesuując po niej dłońmi. Bał się, że coś sobie złamała.

Jennifer zamrugła.

- Nic mi nie jest. - Popatrzyła na niego gniewnie. - A jak miałam skoczyć? Jeszcze nigdy nie schodziłam po linie. - Odepchnęła jego ręce.

- Czemu mi nie powiedziałaś?! - wykrzyknął, wściekły na siebie, że o tym nie pomyślał, i na nią, że zachowała się tak idiotycznie. - Trzeba było zapytać!

Spróbowała się podnieść, nieznośny ból wykrzywił jej usta. Zastygła na moment w bezruchu.

- Wydawało mi się, że jesteś w takim nastroju, że raczej nie można na ciebie liczyć.

- Pomogę ci. - Pociągnął ją do góry.

Była przy nim taka drobna, taka krucha. Żadnych szans, by przeżyła w dżungli. Ten skok mógł się fatalnie zakończyć, niewiele brakowało. Przeraził się na tę myśl, odepchnął ją od siebie. Musi zaraz sprawdzić, czy rzeczywiście nic się jej nie stało. Rozejrzał się pośpiesznie, spostrzegł niewielką polankę. Poprowadził dziewczynę, posadził na zwałonym pniu. Wyjął z plecaka latarkę i zestaw do pierwszej pomocy. Miała otarte dłonie od prześlizgującej się liny.

- Całe szczęście, że nie do krwi - powiedział. - Posmaruję ci je maścią, będzie mniej bolało.

W milczeniu patrzyła, jak wyjmuje lek, opatruje dłonie. Zdrowo się nacierpi, wiedział to po sobie. Miał kiedyś podobny uraz i do tej pory to pamięta.

Ma takie drobne, delikatne dłonie. I ogromne, czerwone ślady po linie. Powinien owinąć je wcześniej choćby koszulą, zrobić wszystko, byle tylko do tego nie doszło.

Dłonie stworzone do czułości, łagodne. Jak ktoś taki może przemycać broń?

Musi dowiedzieć się prawdy. Przed laty, jeszcze w Korei, stracił najlepszego przyjaciela. Zaczęło się od czarnorynkowych interesów, wreszcie Tom wpadł w poważne tarapaty, związał się z niewłaściwymi ludźmi. Daremnie próbował przemówić mu do rozumu, gdy odkrył, w co on się wplątał i zdał sobie sprawę, co może mu grozić. Nie pojmował, jak ktoś z własnej woli decyduje się na taki układ. Potem ta bezsensowna śmierć, przerażenie, gdy znalazł jego ciało. I nie kończące się oskarżenia, wreszcie sprawa, którą przeciwko niemu wytoczyli. Grunt usuwał mu się spod nóg. Gdy wyszło na jaw, że dowody przeciwko niemu zostały sfalszowane, było za późno. Nie zdążył uspokoić mamy. Ani zatrzymać narzeczonej.

Rebelianci potrzebowali broni, by obalić rząd. Jak zwykle chodziło o pieniądze. O pieniądze i władzę. Ale jak ktoś tak niewinny i szczery, w dodatku otwarcie przyznający się do bycia katolikiem, mógł wejść w taki brudny interes? Chyba że...

- Nie jesteś wplątana w przemyt? - zapytał jeszcze raz.

- Już ci powiedziałam, że nie.

- W takim razie, dla kogo to robisz?

- Dla nikogo.

Westchnął. Powinien się domyślić, że nie będzie sypać kumpli. No i co teraz? Co z nią zrobić? Doświadczenie nauczyło go, by nikomu nie ufać.

Tom aż do samej śmierci zaklinał się, że nie robi nic złego. Dawna dziewczyna zasypywała go listami, choć w tym czasie już szykowałą się do ślubu z innym. A mama... zapewniała, że wszystko jest w jak najlepszym

porządku, nie wspomniała tylko, że umiera na raka. Mógł rzucić służbę, machnąć ręką na karierę i wrócić do domu, by być przy niej. Ale nie pisnęła ani słówka. I wymogła milczenie na siostrze. Jak po czymś takim mógł ufać ludziom, wierzyć, że są z nim szczerzy?

Lepiej już nigdy się z nikim nie wiązać, liczyć wyłącznie na siebie. I robić swoje. Takie było teraz jego credo. Postawił na rozwój firmy. Najważniejsze, by wyrobić sobie markę, stać się konkurencyjnym względem innych. Przewozy lotnicze mają przed sobą przyszłość. Musi skupić się wyłącznie na pracy. I żadnej kobiety. A zwłaszcza takiego niewiniątka o buzi aniołka, wciągniętego w lewe interesy. Z miejsca mógłby postawić krzyżyk na swoich planach.

Wyciągnął bandażę, owinał jej dłonie.

- Powinno pomóc - powiedział, gdy nadal milczała. - Połknij jeszcze aspirynę i ruszamy.

- Dokąd? - Rozejrzała się uważnie.

- Gdziekolwiek, byle jak najdalej od samolotu.

- Ale czy ty w ogóle wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Jeśli się nie mylę, powinniśmy iść tam. - Wskazał za siebie. - Tamtędy powinniśmy dojść do miasta.

- Już ci mówiłam, że nie idę do miasta.

Potrząsnął głową. Podziwiał jej tupet. Przyłapał ją na przemycie, a mimo to nadal upiera się przy swoim.

- Pójdiesz do miasta, ze mną. Nawet gdybym uwierzył, że mówisz prawdę, i tak bym cię nie puścił samej. Sama byś sobie nie poradziła.

- Umiem o siebie zadbać. - Dumnie uniosła brodę. Uśmiechnął się.

- Nie minąłby dzień, a zostałabyś zjedzona żywcem.

- Ile razy byłeś w tutejszej dżungli?

- Tu? Nigdy. - Przypomniał sobie Koreę i dodał: - Posłuchaj mnie...

- To mi wystarczy - przerwała mu. - Widzę, że po prostu się denerwujesz.

Zobaczysz, będzie dobrze. Przystudiowałam wszystko na temat San Gabriel.

Wiedział, że to tylko przechwałki, ale nie przerywał. Chciał posłuchać, co ma mu do powiedzenia.

- Zapewniam cię, że nie ma tu niczego, co mogłoby cię zjeść. Chyba że węże. - Rozejrzała się wokół uważnie, znów popatrzyła na Gage'a. - Zresztą to nie jest teraz istotne. Skoro nie wiesz, jak wybrnąć z sytuacji, przejmuję inicjatywę. I w związku z tym uważam, że powinniśmy iść w kierunku misji.

Chyba jednak się zagalopowała. Powinien wyjaśnić jej, kto tu za kogo odpowiada, ale naraz uświadomił sobie, że złość już mu przeszła, jej miejsce zajęło rozbawienie.

- Pójdziemy krótszą drogą... - zaczął i urwał gwałtownie.

Gdzieś z tyłu głośno wrzasnęła małpa, Gage szybko odwrócił się w jej stronę. Podniósł dłoń, uciszając Jennifer. Wyprostował się, wsłuchał w nocne odgłosy. Chór świerszczy i żab mieszał się z poszumem gałęzi. Nic podejrzanego. W takim razie, skąd ten dziwny, przyczajony w nim lęk, podnoszący włosy na karku?

Boże, jeśli słuchasz ludzkich próśb, spraw, bym nas stąd wyprowadził, nieoczekiwanie zaczął modlić się w duchu.

Dziewczyna zdawała się zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa. A przecież są zupełnie bezbronni. Wystarczy, by ich tu znaleziono, o reszcie lepiej nie myśleć. Nikt nie będzie zadawał pytań.

Nagle dobiegł go warkliwy odgłos komendy.

- Ktoś idzie - szepnął.

Nim zdążył ją powstrzymać, Jennifer poderwała się i ruszyła w stronę, skąd dobiegł głos.

- Wspaniale. Pomogą nam...

Pochwycił ją za kostkę, ściągnął na ziemię i przytrzymał, nie pozwalając się ruszyć. Na polance pojawili się ludzie.

- Ani się waż - syknął.



Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Nie pozwalał jej drgnąć. Nie poddawała się.

- Zobacz, oni idą z tej strony, gdzie chciałeś iść - odezwała się, jakby mówiła do dwuletniego dziecka.

Nie posiadał się ze zdumienia. Czy ta dziewczyna uważa, że on niczego nie rozumie?

- To znaczy - ciągnęła dobitnym tonem - że prawdopodobnie przyszli z miasta, że to *federales*.

Gage potrząsnął głową.

- Nie będziemy ryzykować. Chodź. - Zaczął się podnosić, ale natychmiast opadł na ziemię, pociągając dziewczynę za sobą, bo w ciemności zamajaczyły czyjeś sylwetki.

Przycisnął dłonią jej usta. Lepsze to, niż ryzyko, że ktoś ich usłyszy.

- Nie ruszaj się. Znieruchomiała.

W napięciu wsłuchiwał się w potok hiszpańskich słów, daremnie próbując zrozumieć ich sens.

Widzieli spadający samolot i czegoś szukali. Tyle się domyślił. I wiedzieli, że rozbitkowie muszą być w pobliżu. Jeden z żołnierzy przeszedł tuż obok nich. Jennifer wzdrygnęła się niespokojnie, Gage jeszcze mocniej przycisnął jej usta.

*Fusils... dinero*. Broń i pieniądze. Te słowa znał.

- Uważają nas za przemytników broni - szepnął. Wsłuchiwał się w napięciu w dochodzące do nich odgłosy.

Naraz przy samolocie rozległy się głośne okrzyki.

- Co się stało? Co mówią? - zapytał dziewczynę. Mówili za szybko, by sam mógł coś zrozumieć. Lekko zwolnił uścisk, by mogła odpowiedzieć.

Ale Jennifer milczała.

- Co tam się stało? Mów! Nie chciała na niego patrzeć.

- Jeśli mi zaraz nie powiesz, oddam cię w ich ręce - zagroził, ani przez moment nie traktując tego poważnie. Jej mina zaniepokoiła go.

Wreszcie zdecydowała się odezwać.

- Znaleźli moją torebkę - szepnęła. - Teraz wiedzą, że na pokładzie była kobieta.

- I...? - nalegał, gdy umilkła.

- Nie powtórzę ci, co powiedzieli. Mówiąc krótko, nie mogą się doczekać, kiedy nas złapią.

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Domyślał się, co usłyszała. Zaczyna się koszmar. W Korei mogli na siebie liczyć. Wiedzieli, że jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ale teraz jest z nim kobieta. Ktoś, kto nie nawykł do okropieństw wojny. Nie dopuści, by stała się jej krzywda, choćby miał przyplacić to życiem. Ale czy ona zrobi to samo dla niego? Są w tragicznym położeniu, a nawet nie wie, czy z jej strony nic mu nie grozi.

- Chodź - powiedział szeptem. - Za mną. - Powoli zaczął się przesuwać po miękkim, grząskim gruncie. - Jeśli ci życie miłe, rób dokładnie to, co ci mówię. I nie dawaj powodów, bym ci nie ufał.

Nie odpowiedziała, ale powoli wycofała się za nim. Minęło kilka sekund, nim zorientował się, że dziewczyna znieruchomiała.

- No, chodź - wyszeptał. - Na co czekasz?

Przekręciła się na plecy. Nawet nie spojrzała na niego, tylko utkwiała wzrok w coś, co ją przestraszyło.

- Wybieracie się gdzieś? - Wprawdzie pytanie było rzucone po hiszpańsku, ale Gage zrozumiał słowa. Przekręcił się na plecy. Tuż przy stopach Jennifer stał jeden z żołnierzy przeszukujących samolot.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Jennifer kopnęła żołnierza. Z całej siły.

Uderzony z zaskoczenia, z jękiem złapał się za brzuch i upadł na ziemię.

- Uciekajmy! - Gage złapał dziewczynę za ramię. Nim zdążyła się zorientować, o co mu chodzi, pociągnął ją za sobą.

Tuż za nimi rozległy się głośnie okrzyki.

- Jezu! - wydusiła Jennifer, wpadając na jakąś niewidoczną przeszkodę. -  
Chroń nas!

Biegła tuż za Gage'em, przedzierającym się przez gęste poszycie.

Żołnierze krzyczeli co sił, zwielokrotnione echem strzały dudniły jej w uszach.

- Strzelają do nas! - zawołała, przyspieszając bieg.

- Normalne. - Nie przerywając ucieczki, zerknął przez ramię. - Tak się traktuje tych, którzy sprzyjają rebeliantom.

Biegli jak szaleni, ścigani gradem kul. Rozbolało ją coś w boku, każdy krok był udręką nie do zniesienia, ale zacisnęła zęby. Nie może pozwolić, by przez nią ucierpiała niewinna osoba. Już nigdy więcej.

- Musimy im uciec. - Brakowało jej tchu. - Dzieci na mnie czekają.

- Na twoim miejscu modliłbym się o to, by w ogóle ujść z życiem. -

Wyminął drzewo, które zagradzało im drogę.

Naraz zatrzymał się w miejscu, pośpiesznie przygarnął ją ku sobie.

Jak dobrze było poczuć siłę jego ramion. Serce dudniło mu jak młotem, gdy oparła twarz na jego piersi.

- Cicho... - wyszeptał tuż przy jej uchu, szeptem lżejszym niż tchnienie.

Wysłuchiwała się w ciszę, ale niczego nie słyszała.

- Są z obu stron - wyszeptał.

Teraz i ona ich usłyszała. Ciche gwizdnięcia, niby przypadkowe dźwięki.

Popatrzyła na Gage'a. Naprawdę jest dobry. Szybko się zorientował.

- To co teraz zrobimy? - zapytała bezgłośnie. Wzruszył ramionami.

- Nigdy dotąd nie byłem w takiej sytuacji.

Przytuliła się do niego, przygarnął ją mocniej. Boże, proszę cię, modliła się w duchu. Wyprowadź nas stąd, pomóż nam. Te dzieci nas potrzebują.

- Spróbujemy tędy.

Poczuła dreszcz na plecach, gdy szeptał jej do ucha. Nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo obrócił ją i popchnął przed siebie.

- Mam nadzieję, że jeśli nas usłyszą, wezmą to za nocne odgłosy. Ale, tak czy inaczej, nie rozmawiajmy.

Skinęła głową.

Po centymetrze posuwali się przed siebie, w skupieniu wsłuchując się w otaczające ich dźwięki, ledwie słyszalne słowa i pytania okrążających ich żołnierzy. Niestety, spełnił się najgorszy scenariusz. Zostali osaczeni.

Zamarła, gdy Gage znieruchomiał. Wiedziała, że musi mieć powód. Po chwili sama usłyszała. Mniej jak trzy metry od nich ktoś się poruszył. Ktoś był niemal tuż obok.

Nieznajomy zawołał coś cicho do swoich.

Dziewczyna wstrzymała dech.

Z prawej strony ktoś odkrzyknął cicho, nieznajomy postąpił krok do przodu, znowu coś zawołał i skręcił w lewo.

Odwróciła się do Gage'a i otworzyła usta, ale uciszył ją spojrzeniem.

Zawahała się. Póki nie odejdą, będzie milczeć.

Stali nieruchomo, póki żołnierze nie oddalili się na bezpieczną odległość.

Odetchnęła z ulgą. Już chyba nic im nie grozi, najgorsze minęło.

Rozluźniła napięte mięśnie, oparła się o Gage'a. Tak niewiele brakowało, by już ich mieli. Ciekawe, co Gage powie, kiedy usłyszy, że...

Nieoczekiwanie popchnął ją do przodu.

- Gage - wyszeptała, ale nie słuchał, tylko pchał ją do przodu.

- Ale posłuchaj - nalegała. - Muszę ci to powiedzieć...

- Cicho... - powtórzył.

- Gage! - Odwróciła się i objęła go w talii. Zesztywniał.

- Nie pora na to - odrzekł po chwili wahania. - Puść mnie. - Spróbował się od niej uwolnić.

Zaczerpnęła głęboki oddech.

- Właśnie, że pora. Nie chodzi mi o to, co myślisz. Musisz mnie wysłuchać.

- Usłyszają cię! - oponował.

- Ale tu jest...

Więcej nie zdążyła powiedzieć. Niespodziewanie jej stopa nie znalazła oparcia i zawisła w powietrzu. W ostatniej chwili Jennifer rozpaczliwie złapała się Gage'a, ale ten nieoczekiwany ruch sprawił, że stracił równowagę.

Gdy tylko zorientował się w sytuacji, próbował zapobiec ich upadkowi, ale było za późno.

Jej krzyk zaalarmował żołnierzy.

Rozległ się pierwszy strzał.

Na szczęście żołnierze nie zdążyli. Jennifer i Gage polecili w dół i z głośnym pluskiem wpadli w rwący nurt rzeki, w niesione przez wodę gałęzie i błoto, ale było to lepsze niż kula. Na chwilę stracili poczucie tego, co się z nimi dzieje. Zanurzyli się w ciemną, spienioną toń. Prąd wyrwał ją z uścisku Gage'a, rzucając we wszystkich kierunkach. Rozpaczliwie próbowała wydobyć się na powierzchnię. Brakowało jej powietrza, paliły płuca, gdy desperacko walczyła o życie. Kolorowe mroczki jak szalone tańczyły przed oczami.

I nagle ogarnął ją błogi spokój. Powoli przestała walczyć, poddała się falowaniu wody.

Wiedziała, że umiera.

Nie chcę umrzeć w taki sposób! - opierał się jeszcze jej umysł. I nagle jej głowa wynurzyła się na powierzchnię.

Głęboko wciągnęła powietrze, odetchnęła.

- Żyjesz!

Donośny głos przedzierał się przez zagłuszający wszystko szum wody.

Jak cudownie brzmiał!

Odwróciła się, poczuła, że ktoś łapie ją za włosy.

Jeszcze oszołomiona niedawną walką o życie, szarpnęła się gwałtownie.

- Spokojnie... *cherie*. To tylko ja.

Chwycił ją wpół. Odetchnęła z ulgą. Nadal gwałtownie łapiąc powietrze, posłusznie poddała się jego ramionom, gdy walcząc z nurtem, ciągnął ją do brzegu. Była zbyt słaba, by o własnych siłach wyjść z wody.

- Dziękuję - wyszeptała w podzięcie Bogu i Gage'owi, gdy wreszcie, wyczerpana, opadła na piasek.

Gage położył się obok niej, nadal obejmował ją w talii.

- Myślałem, że już po tobie - powiedział, gdy wreszcie mógł złapać oddech.

- Ja też - rzekła i zaśmiała się lekko.

- Widzę, że czasami optymizm zawodzi nawet nieuleczalnych optymistów - mruknął.

Znowu się zaśmiała.

- Teraz, kiedy jesteśmy już bezpieczni, choć przecież tak niewiele brakowało, jestem jeszcze większą optymistką niż kiedykolwiek.

- Czy to w ogóle możliwe? - prychnął Gage.

- A możliwe, byś ty mógł być jeszcze większym pesymistą? - zażartowała, ciesząc się, że nadal może tak się z nim przekomarzać, choć sądziła, że ich chwile są policzone. Przytuliła się do niego mocniej, poczuła, że jest bezpieczna, gdy tak ją obejmował. Ale spokój nie był im przeznaczony.

- Pesymista czy nie, ci żołnierze nie przestaną nas szukać. Musimy znaleźć sobie jakieś schronienie i choć trochę się przespać. - Poklepał dłonią plecak, który ciągle na sobie miała.

- Jestem silniejszy, więc sobie poradziłem, ale twój pociągnął cię na dno.

Wzdrygnęła się. Nic dziwnego, że tak jej było ciężko.

- Dzięki ci, Panie - wyszeptwała przejęta trwogą, że była tak blisko śmierci.

Kolana jej zadrżały.

- Sądząc po tym rwącym nurcie, jesteśmy blisko wodospadu, a to oznacza, że mogą tu być jaskinie. Jeśli rzeczywiście jesteśmy tu, gdzie myślę.

- Uważasz, że to będzie bezpieczne?

- Żołnierze raczej nie sądzą, że jesteśmy tak daleko. Zresztą przeszukiwanie brzegu zajmie im więcej czasu, niż nam dotarcie do jaskiń. Chodźmy wzdłuż brzegu, może coś znajdziemy.

Pomógł jej wstać. Wszystko ją bolało. Jęknęła, a Gage natychmiast obejrzał jej dłonie.

- Bolać mniej niż reszta. Nie przejmuj się mną. Spacer dobrze mi robi.

Wydawało się jej, że potrząsnął głową.

- No dobrze, traperze, chodźmy - wymruczał, ujmując ją za ramię. -

Oddalmy się trochę od tych żołnierzy.

Jennifer uśmiechnęła się.

- Gage - zaczęła, gdy ruszyli wzdłuż rzeki. - Czy przypadkiem, choćby tylko przez mgnienie, nie przyszło ci do głowy, że udało nam się przeżyć ten upadek i oblawę dzięki boskiej pomocy?

Zamruczał tylko. Dziewczyna się nie zrażała.

- Przecież mogliśmy się zabić albo coś sobie połamać, albo nawet utonąć.

- Co prawie ci się przydarzyło - dopowiedział.

- Prawie to delikatnie powiedziane - zaśmiała się. - Wiesz, naprawdę myślę, że Bóg i aniołowie mają nas w swojej opiece.

Nie odpowiedział, mruknął coś tylko do siebie i szedł dalej. Jennifer uśmiechnęła się. Wszystko ją bolało, ale czuła się szczęśliwa jak nigdy. Chciała odmiany w życiu, marzyła, by wyrwać się zza biurka. No i ma czego chciała. Na przyszłość, modląc się, musi być bardziej precyzyjna. Ale znaleźć się w sercu dżungli z takim przystojnym facetem, czyż to nie spełnienie marzeń? Gdyby

tylko nie ścigali ich ci *federales* i gdyby udało im się nie natknąć na rebeliantów. I gdyby przekonała Gage'a, że nie ma z nimi nic wspólnego. I sprawić, by się przed nią otworzył i choć odrobinę jej zaufał. Czyż wtedy świat nie byłby piękny?

- Chyba coś znaleźliśmy.

Zarośla rozrzedzały się nieco, z boku skarpy ciemniał niewielki otwór. Gage zapalił latarkę, wszedł do środka i uważnie zlustrował wnętrze.

- Wygląda nieźle - powiedział, gestem zapraszając, by weszła.

Jennifer zamrugwała, oślepiona światłem. Postanowiła być twarda jak traper, ale ze zmęczenia ledwie trzymała się na nogach. Usiadła, położyła głowę na ziemi i skuliwszy się, od razu zasnęła.

- Poczekaj, nie tak szybko - próbował ją powstrzymać, ale było za późno. Spała jak zabita.

Zdjął plecak, wyjął koc i rozścielił go na ziemi. Pochylił się nad dziewczyną.

Oparła policzek na złożonych dłoniach, kolana podciągnęła pod brodę. Rozsypane włosy jaśniały wokół jej twarzy.

Na ten widok ogarnęła go przejmująca tklivość. Ile kobiet zniosłoby to, co jej przyszło przeżyć? Nawet nie mrugnęła, gdy oznajmił, że tu zostają na noc. Ani słowa skargi, że jest zimno, że ziemia jest twarda. Po prostu zasnęła.

Ukląkł obok, ostrożnie zdjął z niej plecak. Westchnęła cichutko, ułożyła się wygodniej. Brązowe bandaże na dłoniach, podrapane policzki. A mimo to z jej twarzy promieniował spokój.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

Postawił jej plecak przy swoim, przygarnął dziewczynę, położył się obok i okrył ich drugim kocem. Noc była ciepła, powietrze lepkie od wilgoci, ale mieli na sobie mokre ubrania. Czuł, że Jennifer lekko drży.

No i co on ma sobie o niej myśleć?



Przytuliła się do niego przez sen, oparła twarz na jego ramieniu. Rozluźnił się, by zasnąć.

Zuchwała, pełna życia. A jednocześnie uparcie dążąca do celu.

Ale przemyt broni?

Niemożliwe. Nie może aż tak się mylić. Tego jest pewien. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Może ktoś inny pakował dary na misję? Jest młoda i ufna. Może tylko jej powiedziano, co jest w tych pudłach, a ona już nie sprawdzała?

Ale nie chciała, by je otwierał.

Potrząsnął głową. Jest niewinna, już teraz był o tym przekonany. Żadna kobieta nie mogłaby aż tak grać.

Przypląnęły obrazy z przeszłości. A jego siostra? Też go okłamywała, gdy pytał o mamę. Nigdy by jej o to nie posądził.

Wrócił myślą do Jennifer. No dobrze, może wiedziała coś na temat tej broni. Ale teraz to nie jest istotne. Ważne jest tylko to, by uszli z życiem. Musi jej strzec.

Podziwiał jej opanowanie. Przecież ich ucieczka dopiero się zaczęła. Kto wie, co ich czeka. Może wcale nie być różowo. Dobrze, że nie wpada w panikę, że tak świetnie się trzyma. Jednak z doświadczenia wiedział, że tacy optymiści szybko zaczynają grać mu na nerwach. To tylko kwestia czasu. Niedługo będzie miał jej szczerze dość.

W jego ramionach spała spokojnie jak dziecko. Ufa mu. A przecież wcale go nie zna. Więc skąd to zaufanie?

Nie jest mu potrzebne do szczęścia i szybko da jej to odczuć. Wystarczy pewność, że nie wbije mu noża w plecy, gdy będą przedzierać się przez dżunglę. Tylko że przed takim rodzajem zaufania wszystko się w nim wzdragało.

Poczuł złość na siebie. Kręci się w kółko, nie może dojść do ładu z własnymi myślami.

- Panie - wyszeptał, przytulając dziewczynę mocniej. - Ona tak się upiera, że baczysz na nasz los. Ja w to nie wierzę. Gdyby naprawdę tak było, to dałbyś

mi znak, gdy zostawiła mnie narzeczona, gdy umarła mama. Ale proszę cię teraz dla Jenny. Jej też nie ufam, nie wiem, czy kiedykolwiek komuś zaufam. I czy w ogóle tego chcę. Ale czuję się odpowiedzialny za katastrofę. A ten dzieciak - popatrzył na śpiącą dziewczynę - kobieta - poprawił - jest w większym niebezpieczeństwie, niż sobie wyobraża. Szczęśliwie umknęliśmy żołnierzom. Co będzie, gdy wpadniemy w ręce innych? Boże, pomóż nam stąd się wydostać jak najszybciej. I miej nas w swojej opiece, póki bezpiecznie nie odstawię jej do domu. Nie chcę porażki po raz drugi... i to z mojej winy.

Miał mieszane uczucia. Tak dawno się nie modlił. Zamknął oczy, próbując usnąć, by nabrać sił. Jutro czeka ich ciężki dzień.

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

- Moje śliczne maleństwo!

Miękki, cichy głos przebijał się przez otulający go sen. Dochodził skądś z niedaleka. Miał miłe, jakby znajome brzmienie, ale Gage nie potrafił go rozróżnić.

Poruszył się niespokojnie.

- Przyszedłeś do mnie? I tak od razu wskoczyłeś mi na kolana?

Próbował przypomnieć sobie, skąd zna ten głos. Kto mógłby w ten sposób się do niego zwracać? Maleństwo? Chciał przekręcić się na bok; jęknął ze złością, gdy poczuł pod plecami kamień. Ból przywrócił go do rzeczywistości. Przypomniawszy sobie. Otworzył oczy.

San Gabriel... Jennifer...

Usiadł, mrugając gwałtownie, oślepiiony światłem poranka. Jennifer siedziała w pobliżu wyjścia z jaskini. Jasne pasma włosów opadały na ramiona, rozświetlały twarz, podkreślając subtelność rysów. Smugi kurzu na policzkach dodawały jej delikatności. Miał wrażenie, że patrzy na dziecko, dla zabawy

przebrane za dorosłego. A przecież tyle wczoraj przeszła. Miękki uśmiech łagodnie opromieniał jej buzię. Pochylona, przemawiała cicho, pieszczotliwie.

Ale to nie do niego mówiła.

- Z kim rozmawiasz?

Podniosła oczy. Uśmiechnęła się, napotkawszy jego spojrzenie.

- Zobacz, kto tu przed chwilą przyszedł.

Na jej nodze siedziała spora, czerwono-zielona jaszczurka.

Jak mógł jej nie zauważyć, kiedy się wcześniej przyglądał Jennifer?

Jaszczurka kręciła głową, ciekawie rozglądając się wokół. Nie wydawała się spłoszona. Jennifer też nie była przestraszona, wręcz przeciwnie, obecność dzikiego zwierzątka wyraźnie sprawiała jej przyjemność. Jak ta dziewczyna to robi, że jest w takiej zgodzie z naturą?

- Myślałem, że boisz się dzikich zwierząt - powiedział bezwiednie, próbując na nowo ją określić.

Zaśmiała się w odpowiedzi.

- Nie. Tylko węży. A to stworzonko przecież nie jest wężem.

Gage z niedowierzaniem potrząsnął głową, przeciągnął palcami po czuprynie. Po wczorajszych przygodach ubranie było w fatalnym stanie, drażnił świeży zarost. Marzył, by się wykapać, ogolić i wydostać stąd - w dowolnej kolejności.

Ale najpierw... Wyciągnął nóż przytroczony do paska. Jennifer znów popatrzyła na niego.

- Po co ci ten nóż? Pokazał nim na jaszczurkę.

- Śniadanie.

Jennifer aż zaparło dech. Poderwała się na równe nogi, złapała jaszczurkę w objęcia.

- Chyba żartujesz!

Zbiła go z tropu. Popatrzył na nią zdumiony.

- A masz lepszy pomysł, *cherie* ? Przecież musimy coś zjeść, by nie opaść z sił.

Nim zdążył się zorientować, dziewczyna odwróciła się gwałtownie i pośpiesznie wypuściła jaszczurkę w zarośla okalające wejście.

- Jennifer!

Patrzyła na niego czujnie, podejrzliwie.

- Nie było powodu, by ją zabijać. Mam krakersy z masłem orzechowym.

Zamurowało go. Przez długą chwilę, wpatrywał się w nią, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Zabrałaś ze sobą krakersy z masłem orzechowym? Z powagą skinęła głową.

- No, to gdzie one są? - zapytał, niemal pewny, że blefuje. Jasne jak słońce, że nie ma żadnych krakersów. Nie mają nic poza tym, co na sobie... i w plecakach...

Jennifer otworzyła swój plecak i wyjęła z niego dwie paczki krakersów. Znowu sięgnęła do środka. Z niedowierzaniem patrzył na dwie plastikowe torebki z pomarańczowym napojem. Z wrażenia zapomniał języka.

- Co jeszcze masz w tym plecaku? - zapytał, kiedy odzyskał zdolność mówienia.

Sięgnął po jej plecak, nie biorąc podanego napoju.

- Ja go dzwigan, więc to moja sprawa, co w nim mam.

Nie dał się zniechęcić. Próbowala go powstrzymać, ale nie słuchał. Posłał jej takie spojrzenie, że umilkła. Gage zajrzał do środka i zmarszczył się.

- Pasta, szczoteczka, szczotka, grzebień, żyłotka... - Ostatnie słowo wymówił z naciskiem i popatrzył na nią znacząco.

- Do golenia nóg - wyjaśniła, widząc jego minę.

- Aha - mruknął tylko.

- A to? - Pokręcił głową. - Co to jest? Buteleczki z napojem pomarańczowym?

- To miały być prezenciki dla dzieci.

- Sznurek, scyzoryk, chusteczki odświeżające... *cherie*, dziewczyno, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, ile to wszystko waży?

- Uważasz, że mój plecak jest dużo cięższy niż twój? - zapytała, unosząc w górę brodę, wyraźnie nie zamierzając się poddać. Prawdę mówiąc, waga była porównywalna, ale prędzej dałby się powiesić, niż głośno przyznałby jej rację.

- Co jeszcze tam masz? Co to jest... ?

Zdecydowanym gestem odebrała mu szczelnie zapakowane zawiniątko.

- To rzeczy dla dzieci. I trochę ubranek.

- Ubraniek?

- Dla dzieci - dokończyła wyjaśniająco. - I wiesz co? Nawet nie próbuj dyskutować ze mną na ten temat. Tym dzieciom to się po prostu należy, przynajmniej po jednym komplecie. Te wzięłam dodatkowo, w razie gdyby skończyły się nam bandaże. Kto wie, mogą się przydać. I nie łudź się, że coś zostawię. Ja niosę ten plecak, nie ty.

Z ręką na sercu musiał przyznać, że już wczoraj kompletnie zaskoczyła go swoim zachowaniem. Dzielnie się trzyma.

- W porządku. Ale jeśli okaże się, że jest za ciężki, z góry oświadczam, że nie wezmę od ciebie ani jednej z tych najpotrzebniejszych rzeczy.

Zmarszczyła nosek. Rozbroiła go tym zupełnie. Jest niemożliwa.

Potrząsnął tylko głową, rezygnując z dalszej dyskusji.

- W takim razie, skoro puściłaś wolno nasze śniadanie, biorę krakersy.

Popatrzyła na niego z urazą, ale podsunęła mu paczuszkę.

- Dawno wstałaś? - zapytał, odgryzając kawałek herbatnika.

- Nie - odpowiedziała.

- A jak ręce? Bolały?

- Troszeczkę.

Odłożył jedzenie, sięgnął po swój plecak.

- Od tego powinniśmy zacząć. W takim klimacie higiena jest sprawą najważniejszą. Pokaż mi ręce, muszę je obejrzeć - zarządził, wyjmując podręczną apteczkę i podchodząc do Jennifer.

Pochyliła głowę, zarumieniła się lekko.

- Domyślam się, że już masz mnie dość i pewnie uważasz, że jestem okropna. Ale nie robię tego specjalnie. I naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna, że tak się martwisz o moje ręce. Dziękuję.

To go poruszyło. Zrobiło mu się głupio, że w stosunku do niej był taki szorstki. Może jej nie ufać, ale przecież nie musi traktować jej z rezerwą, na dystans.

- To nic takiego - mruknął. - Jesteśmy w trudnej sytuacji i musimy sobie jakoś radzić. Będzie łatwiej, jeśli nie będziemy ze sobą walczyć.

- Też tak uważam.

Zaskoczyła go. Czyżby to miało znaczyć, że przystaje na jego pomysł, by kierować się do dużego miasta? Czyżby kilka uprzejmych słów zdziałało cuda? Ech, te kobiety...

- Pokaż mi ręce. - Ukląkł przy niej. Zdecydowanym ruchem ściągnął poplamione bandaże, dokładnie obejrzał jej dłonie.

- Dziś, przy dziennym świetle, zrobię to lepiej. Trzeba je dokładnie zabandażować, by nie dostały się jakieś zanieczyszczenia. Nie wiemy, co nas jeszcze czeka.

Uśmiechała się, ale dłonie jej drżały.

Podniósł wzrok, popatrzył jej prosto w oczy. Dopiero teraz odkrył, że boi się, choć stara się ukryć ten lęk. Od wczoraj robiła dobrą minę, uśmiechem pokrywając obawy i z uporem parła do przodu. I pewnie nie zdawała sobie sprawy - poznał ją już na tyle, by mieć pewność, że przed nikim nie zdradza własnej słabości - że dostrzegł w jej oczach skrywany strach. Przez to stała się dla niego bardziej ludzka, łatwiejsza do zaakceptowania - czy tego chciał, czy też nie.

Westchnął, lekko uściskał jej palce.

- Wyjdziemy z tego. Obiecuję.

- Och, nie wątpię.

Mimo to widział, że nadal jest przestraszona. Jeszcze bardziej ją za to cenił.

- Teraz przetrę je chusteczką odświeżającą, a potem zdezynfekuję.

Obchodził się z nią tak delikatnie, tak ostrożnie, że poczuła dławienie w gardle. Pierwsze wrażenie znowu się potwierdziło: ten człowiek ma złote serce. Szorstkie obejście jest tylko pozorem, maską, pod którą ukrywa prawdziwą naturę.

- Kto cię tak skrzywdził?

Oderwał wzrok od rąk, które właśnie bandażował.

Zdumienie, które odmalowało się na jego twarzy, niemal natychmiast zastąpiła surowa mina i czujność. Za późno pożałowała niewczesnego pytania, nie dało się cofnąć słów.

- Typowa kobieta. Zawsze musi dokładnie o wszystko wypytać.

Zaśmiała się, próbując pokryć zmieszanie.

- A ty nie lubisz wścibskich bab, co? - zapytała z udaną beztroską.

Ku jej uldze rozchmurzył się.

- Mniej więcej tak, jak przepadam za kanałowym leczeniem zęba.

Kończył owijać gazą jej dłonie, wygładził zmarszczki, przykleił końce i upewnił się, że nie zabandażował za ściśło.

- Nigdy nie ordynowano mi takiego leczenia - wymamrotała.

- I nie masz czego żałować.

- To takie okropne? Jak aparat na zęby? Uśmiechnął się lekko.

- Trudno mi porównać. Nie nosiłem aparatu.

- Ja też nie.

Popatrzył na nią dziwnie, zdezorientowany.

- W takim razie, dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Rozmawiamy - odparła z uśmiechem. Potrząsnął głową, puścił jej ręce i usiadł. Wyjęła z plecaka szczotkę i gumkę do włosów. Gage uśmiechnął się.

- Chyba nie pójdzie ci z tym łatwo.

- Chcę teraz szybko zapleść włosy, póki nie ruszymy.

Gage przełknął resztki ostatniego krakersa. Otworzył drugą paczuszkę i podał ją dziewczynie.

- Zjedz to. Musisz nabrać sił. - Wyjął z jej rąk szczotkę. - Ja cię uczeszę - oznajmił.

Teraz ona poczuła się zaskoczona. Uniosła brwi.

- Umiesz zaplatać warkocze? Zarumienił się nieznacznie.

- Tak to jest, kiedy się ma młodszą i w dodatku upartą siostrę, przekonaną, że starszy brat czasami musi jej pomagać.

Zmieszala się lekko. Nie pomyślała, że poczuje się skrępowany. By załagodzić niezręczną sytuację, zawołała:

- Och, to musi być wspaniale! Ja nigdy tak dobrze nie miałam... Co za noc... - Gdy mówiła, łatwiej było opanować zdenerwowanie. Wyjęła krakersa. - Musiałam wyjść... no wiesz, potrzeba natury... ale nikogo nie widziałam. Jak myślisz, ile mamy czasu, nim *federales* zaczną nas tropić?

Masywna, ciepła dłoń dotknęła jej karku, rozpuszczone włosy opadły na ramiona.

- Kto to może wiedzieć? Przypuszczam, że poczekają, aż się całkiem rozwidni, jeśli w ogóle nadal będą chcieli nas ścigać. Jeśli się uda i na nikogo nie wpadniemy, może mamy nawet cały dzień. Jeśli jednak nie przerwali obławy, mamy tylko jakąś godzinę przewagi, może dwie.

Jennifer popatrzyła na wyjście. Na zewnątrz robiło się coraz jaśniej. Gage ostrożnie przeciągnął szczotką po jej włosach.

Zamyśliła się.



Jak to możliwe, że on się jej tak podoba? Czyżby Bóg uczynił to celowo, znów stawiając na jej drodze upartego człowieka, który nigdy nie liczy się z innymi, który za wszelką cenę musi postawić na swoim? Po tym, co przeżyła z Benem? Ale fakt jest faktem. Wiele by dała za to, by się dowiedzieć, czego dotyczyła tamta mimowolna wzmianka Marka Richardsona, że Gage miał za sobą ciężkie chwile i nie mógł dojść z Bogiem do ładu. Gdy Mark to mówił, nie znała wtedy jeszcze Gage'a. Właściwie, to rozmawiali nie o nim, a jego firmie przewozowej. Jasne, że sama go nie zapyta. Wystarczy jego reakcja na wcześniejsze pytanie, teraz prędzej ugryzie się w język, nim odważy się o coś zapytać. W ten sposób niczego nie zdołała. Ale mimo to chyba można mu jakoś pomóc?

Przyjemna była świadomość, że ktoś ją czesze. Gage starannie podzielił włosy na pasma, wprawnie zaplótł warkocz.

- Cudownie. Nie znoszę, jak mam na głowie taki bałagan.
- A ja przypuszczałem, że lubisz luz. Takie całkiem rozpuszczone.
- Kiedyś tak było. Ale wtedy włosy strasznie się płaczą.

W skupieniu związywał koniec warkocza. Miło było czuć dotyk jego dłoni. Mama umarła dawno, poza nią nie miała nikogo bliskiego. Od lat nikt jej nie czesał.

- Gotowe.

Odwróciła się, z zalem myśląc, ile straciła wraz z odejściem mamy.

Gage popatrzył na zamyśloną buzię dziewczyny, poruszył się niespokojnie. O czym tak sobie myślała, kiedy ją czesał? Skąd ta smutna mina? To niczego dobrego nie wróży.

Sam z trudem nad sobą panował. Te jej włosy, takie jedwabiste, miłe w dotyku... Cudowna, cudowna dziewczyna! Bez słowa sprzeciwu zgodziłby się pójść z nią wszędzie. I poznać ją bliżej.

Zajrzał jej w oczy. Był jak ogłuszony. Mimo woli, bez zastanowienia, pochylił ku niej głowę.

Całował ją żarliwie. Przygarnął do siebie mocniej; poddała się jego ramionom. Nie Jennifer, Jenny. Takie imię do niej pasuje. Osoba z krwi i kości, nie ktoś chowający się za maską, by zachować dystans.

Serce mu się ścisnęło. Ileż to czasu minęło, od kiedy ostatni raz naprawdę miał ochotę objąć kobietę, nie mówiąc o pocałunkach? Ileż to czasu!

A ta krucha istota, uosobienie niewinności... Szarpnął się do tyłu. Co on najlepszego wyprawia? Podejrzewa, że ta dziewczyna ma konszachty z rebeliantami, a mimo to ją całuje? Co się z nim dzieje?

Jennifer popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

- Ruszajmy. - Nic więcej nie przyszło mu do głowy.

Sam był równie zdumiony jak ona. Trzydzieści dwa lata, a zachowuje się jak smarkacz. Po co ją całował?

Pośpiesznie chwycił plecak, wepchnął do niego rzeczy i przesunął się do wyjścia. Słyszał za sobą jej lekkie, szybkie kroki. Zdwoił czujność. Doskonale wyczuwał wibrujące między nimi napięcie, ale nie miał pojęcia, jak z nim walczyć, jak je zlikwidować. Chociaż nie, chyba jednak wie.

Przede wszystkim musi zachować dystans. I nie być zbyt miękkim. Po prostu musi wziąć się w garść. Oboje nie są sobie obojętni. Łatwo byłoby ulec jej miłym słówkom i zapewnieniom o niewinności, uwierzyć, że Bóg kieruje ich przeznaczeniem, więc nie trzeba się o nic martwić, tylko mu zaufać. Tyle że w realnym życiu jest inaczej, a takie osoby jak ona w rzeczywistości nie istnieją. Tylko udają, że są takie, bo chcą ukryć własne cele. Nie da się na to nabrać.

- Czy wiesz - szepnęła Jennifer, patrząc na otaczające ich drzewa - że tu jest ponad pięćset gatunków węży, a połowa z nich jest dla ludzi śmiertelnie niebezpieczna?

Znowu o węzach? Właściwie to nawet dobrze, ma chwilę oddechu od prześladowających go myśli.

- Większość z nich żywi się ptactwem, gadami i rybami - ciągnęła, nie odrywając oczu od bujnej roślinności. - Rodzice nie troszczą się o młode. Choć

czasami się zdarza, że samica ich dogląda. Te wszystkie węże świetnie się wspinają i doskonale potrafią pływać.

- Jenny, dlaczego tak boisz się węży? Odwróciła się do niego.

- Jenny? Nikt mnie tak nie nazywa.

Mruknął coś pod nosem, zły, że niepotrzebnie mu się to wyrwało. Ruszył ścieżką przed siebie.

- Pytałem o węże - przypomniał.

- Dlaczego myślisz, że się ich boję? - odpowiedziała pytaniem, w napięciu wpatrując się w zwisający z gałęzi pęd bluszczu, jakby spodziewała się, że jeszcze chwila i na nią spadnie.

- Dlaczego boisz się węży? - powtórzył.

Uniosła dumnie brodę. Nie powinien jej tak naciskać, już to przecież wie. Tylko ją spłoszy.

- Dlaczego mnie pocałowałeś?

- Przecież ci się podobało - odrzekł od niechcienia, z nadzieją, że na tym sprawa się zakończy.

- Dlaczego mnie pocałowałeś?

Ależ jest uparta!

- Może po prostu lubię całować ładne dziewczyny, *cherie*.

Na pewno od niego nie usłyszy, że mu się podoba. I tak by nic z tego nie było. Nigdy by nic z tego nie wyszło. Zaśmiała się dźwięcznie.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Bo mi żal tych wszystkich ładnych dziewczyn, które przypadkiem mijales na ulicy, skoro w ten sposób zwykle je traktujesz.

Skrzywił się tylko. Jenny jest dziś w formie.

- Po prostu stało się. Takie rzeczy zdarzają się, gdy człowiek jest w trudnej sytuacji.

- Całujesz się z kimś, kogo podejrzewasz o przestępstwo? - Popatrzyła na niego niewinnie. - Coś takiego!

Wezbrała w nim złość. Niestety, miała rację. Nigdy by tego nie zrobił, zresztą nie obracał się w takim towarzystwie. To nie było w jego stylu. Ani nie całował się z dziewczynami, których prawie nie znał. Pora skończyć z tymi rozmowami, póki nie posuną się zbyt daleko. Ta dziewczyna potrafi doprowadzić człowieka do ostateczności. Gdyby tak przyszło mu ciągnąć to jeszcze parę dni...

- Coś ci powiem - zaczął i naraz zatrzymał się raptownie. Jennifer też usłyszała. Pobladła, oczy się jej rozszerzyły. Gage uważnie zlustrował teren.

- Na ziemię - rozkazał szeptem.

Wczołgała się za nim pod gęste zarośla. Upewnił się, że są niewidoczni. Dająca im schronienie zielona ciemność była przesycona intensywnym, wilgotnym zapachem. Gage delikatnie odsunął gałązkę, by mieć lepszy widok. Wszędzie wokół rozciągał się podobny gąszcz, powinni być tu bezpieczni.

Głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Żołnierze nie spodziewali się ich tutaj, słyhać to było po ich głośnych narzekaniach na upał i marne śniadanie, bez troskich nawoływaniach. Próbował zrozumieć coś z ich rozmów, ale mówili za szybko.

Naraz Jennifer zeszywniała.

Za późno zdał sobie sprawę, że powinien zakryć jej usta. Ostrożnie odwrócił głowę i zmartwiał z przerażenia. Jennifer próbowała wycofać się spod osłaniających ich krzaków. Jeszcze chwila, a zostaną odkryci.

Nie zastanawiając się ani chwili, przycisnął dłonią jej usta i pociągnął ją ku sobie. Posłał jej mordercze spojrzenie, w napięciu wsłuchując się w każdy szmer. Był niemal pewien, że zaraz ich znajdą. Żołnierze byli tuż-tuż. Jeden z nich przeszedł obok nich, jego buty niemal otarły się o twarz Gage'a.

Jennifer drżała ze strachu. Jak mogła być tak nieostrożna! To już się nie powtórzy.

Wreszcie głosy żołnierzy ucichły. Gage przysłuchiwał się oddalającym się śmiechom, dopiero gdy był już zupełnie pewien, że odeszli na dobre, puścił dziewczynę.

- Jak mogłaś? Czy wiesz, czym to by się skończyło, gdyby nas znaleźli? -  
Wysunął się spod zarośli, pociągając ją za sobą.

Jennifer miała pobladłą twarz, oddychała z trudem. Otarła kurz z ubrania.

- Wcale nie chciałam ich alarmować. Gage zarzucił plecak na ramiona.

- Nie? W takim razie, co zamierzałaś?

Zacisnęła usta, a kiedy Gage się skrzywił, westchnęła z rezygnacją.

- Wydało mi się, że to nie bluszcz, tylko wąż. Chciałam przed nim uciec.

Przyjrzał się jej uważnie. To wyjaśnienie nie było pozbawione logiki.

Zwłaszcza że boi się węży. Ale tylko dlatego narażać życie...

Potrząsnął głową, zamruczał coś do siebie, czego nie zrozumiała. Ruszył w kierunku przeciwnym do tego, gdzie poszli żołnierze.

- Nie wierzysz mi? - Była urażona. Uśmiechnął się ponuro.

- A mogę? Udowodnij, że tak. Wtedy porozmawiamy. Dziewczyna z godnością uniosła brodę. Milczała z uporem. Gage wzruszył ramionami.

- W takim razie, *cherie*, będę cię mieć na oku, póki stąd nie wyjdziemy.

- A ja ciebie. Żebyś nie wpakował nas w jeszcze większe tarapaty.

Zaparło mu dech.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Uśmiechnęła się z satysfakcją.

- To nie ja prowadziłam samolot - oświadczyła i ruszyła przed siebie.

Podziwiał jej zuchwałość. Nic sobie nie robi z jego ostrzeżeń. Sama atakuje.

- Samolotu się nie prowadzi! - zawołał za nią i pokręcił głową. Być w takiej fatalnej sytuacji i jeszcze mieć odwagę. Zachwycała go. - Chyba ze mną marnie - mruknął sam do siebie.

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

- W tym rejonie żyją węże z rodziny dusicieli. Boa i pytony. Wiedziałeś o tym?

Dlaczego to nie daje jej spokoju? - zastanowił się Gage, zatrzymując się, by otrzeć pot z czoła. Oparł się o drzewo, opuścił rękę z maczetą.

- Niektóre z tych węży spotyka się nawet w zachodniej części Stanów, ale mniejsze niż te tutaj. Nie są jadowite. Zabijają ofiarę, dusząc ją.

Dobrze, że przynajmniej oszczędza mu szczegółów. Chociaż wystarczy sam widok jej miny.

- Jak taki cię dopadnie, zostawi z ciebie tylko marne resztki. W sam raz, żeby zapakować w kopertę.

Ale ta dziewczyna ma wyobraźnię! Im szybciej ją uciszy, tym lepiej.

- Jak na osobę, która nie przepada za węzami, wyjątkowo lubisz mówić na ich temat.

Wpatrywała się w gęstą ścianę zarośli, ale na te słowa odwróciła się w jego stronę.

- Uważam, że należy zdawać sobie sprawę z groźących niebezpieczeństw.

Gage skinął głową. Ciekawe, czego jeszcze się obawia. Chociaż może lepiej tego nie dociekać. Język się jej rozwiązał, możliwe, że sama mu powie.

- Czy dobrze mi się wydaje, że idziemy na południowy zachód? - odezwała się Jennifer, spoglądając na rozpościerającą się przed nimi polankę.

W roztargnieniu skinął głową.

- Tak - potwierdził.

- Jak sądzisz, czy ci żołnierze szukali właśnie nas? Gage oderwał wzrok od polanki, popatrzył na dziewczynę.

- Przypuszczam, że byli z tego samego oddziału co tamci wczoraj. Prawdopodobnie nas szukali. Choć możliwe, że tropili rebeliantów.

Rzucił to lekkim tonem, ale uważnie obserwował dziewczynę, ciekaw jej reakcji. Nie potrafi jej rozszyfrować. Zachowuje się jak chodząca niewinność. Ale fakt pozostaje faktem - w jej bagażu znajdowała się broń, a kiedy chciał zajrzeć do pudeł, nerwowo protestowała.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że idąc w tę stronę, zmierzamy do Lahary.

Gage ruszył przed siebie.

- Tylko przez jakiś czas.

Jennifer w jednej chwili dorównała mu kroku.

- Jesteś okropnie uparty, wiesz?

Wzruszył ramionami. Ostrożnie, by nie zostawić śladu, odgarnął zielone gałęzie zagrażające drogę.

- Gdy wyjaśnisz mi prawdziwy powód swojego przyjazdu, wtedy porozmawiamy na temat misji. Póki to nie nastąpi, zamierzam iść do miasta i stamtąd zadzwonić do współnika.

- Dlaczego nie wierzysz, że przyjechałam po dzieci? Odwrócił się i popatrzył na idącą tuż za nim dziewczynę.

- Nie powiedziałem, że ci nie wierzę. Ale nie sądzę, by chodziło wyłącznie o dzieci. Każdy ma swoje powody i swoje sprawy. Ta broń przecież o czymś świadczy. Widać, co dla ciebie jest naprawdę ważne. Ważniejsze niż wszystko inne.

Wbiła w niego napięte spojrzenie.

- Nie przemyślałam tej broni. Czy nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Nigdy nikomu nie wierzysz?

Zatrzymał się na mgnienie, cień przemknął mu po twarzy.

- Robiłem to zbyt wiele razy. Ale z tym już koniec. - Z gwałtownym przyływem energii ruszył przed siebie.

Przez kilka sekund stała nieruchomo, rozważając znaczenie usłyszanych słów. Wędrówka, choć nie trwała długo, wyczerpała jej siły. Wydawało się jej,

że idą już tak od wielu godzin, a przez cały ten czas musiała walczyć ze sobą, by nie uciekać na widok każdego poruszającego się pędu. I bezustannie zastanawiała się nad przyczynami, dla których Gage nie chce iść do Lahary. Jednak powoli wszystko zaczyna się klarować. Chodzi o zaufanie. On nikomu nie ufa. Boże, pomóż mi to zrozumieć.

I zachować cierpliwość.

- Dlaczego tak ci zależy na powiadomieniu współnika? - zapytała ostrożnie. - Przecież możesz zadzwonić z misji.

Gage szedł naprzód, trzymając się skraju dżungli. Milczał. Zaskoczył ją, gdy się wreszcie odezwał.

- Praca jest dla mnie najważniejsza. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Możesz na niej polegać, ona cię nie zawiedzie. Rozczarowanie przychodzi tylko ze strony ludzi. I myślę, że nie inaczej będzie z tym, kto cię wrobił w tę sytuację.

- Nie obawiam się cudzych opinii.

- A uważasz, że ja tak? - zareplikował.

To ją rozbawiło, choć oczywiście za nic w świecie by się do tego nie przyznała. Nie miałyby odwagi.

- Czyli wolisz łądować całą energię i emocje w pracę, nie w stosunki z innymi?

- Nie zrażasz się łatwo, co? Uśmiechnęła się ukradkiem.

- Pytasz o mnie? Ja tylko drażę i... Westchnął ciężko.

- W porządku. Nie zależy mi na układach z innymi. I nigdy na to nie pójdę. Nie chcę się wiązać. Każdy układ oparty jest na kłamstwie, ma zaspokoić skrywane potrzeby i pragnienia.

Tego się nie spodziewała. Skąd w nim tyle gorczy?

- Rozumiem.

A już wyobrażała sobie, że on odwzajemnia jej fascynację. Ma nauczkę. Może to i dobrze.



Boże, jak mogłam być taka zaślepiona? Kto by przypuścił, że ten człowiek tyle przeszedł...

- Rozumiesz? - zapytał, jakby naraz pękła w nim jakaś tama i nie mógł już się zatrzymać. - Czy ktoś cię kiedyś oszukał, *cherie*? I to nie raz, ale ciągle, bez ustanku? Najlepszy kumpel, narzeczona, własna matka? Ufasz im bezgranicznie, ale za każdym razem przekonujesz się, że stale mówią ci kłamstwa, że prawda jest zupełnie inna, niż ci ją przedstawiają? „Uwierz mi” - zacytował kogoś i zaśmiał się gorzko. - „Chcę być z tobą. Gdy wyjedziesz, będę się za ciebie modlić. Prosić Boga, by miał cię w swojej opiece”. - Zaczerpnął powietrza, w jego głosie zabrzmiały tkliwe tony. - „U mnie wszystko dobrze. Z mamą też, braciszku...” - urwał.

Miała wrażenie, że pochłonięty własnymi myślami zapomniał o jej obecności. Szedł szybko, z trudem dotrzymywała mu kroku.

Było jej strasznie go żal. Uchylił przed nią zasłony. W jakimś stopniu potrafiła wczuć się w jego sytuację, choć jej mama nigdy nie zawiodła.

- Próbowałaś zwrócić się do Boga? Prosić go o pomoc? - zapytała bez tchu, niemal biegnąc, by nie zostać w tyle.

- Nie wierzę, by Boga interesowali konkretni ludzie. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Czytam Biblię, modłę się, chodzę do kościoła, ale przestałem prosić o coś dla siebie.

Poruszyło ją to stwierdzenie.

- Gage, to bardzo błędne podejście. Owszem, Bóg jest wszechmocny i jest sprawcą wszystkich rzeczy, ale zapominasz, że jednocześnie jest naszym Ojcem. I naszą ucieczką. W Nim znajdziemy oparcie i siłę, On nas pocieszy, gdy jesteśmy w potrzebie, do Niego powinniśmy się zwracać z wiarą i ufnością, jak dzieci...

- Możesz sobie darować. Nasłuchałem się tego od siostry.

- Dobrze, że przynajmniej masz taką siostrę. Dotarli do końca polany. Gage stanął, odwrócił się.

- Czy ty nigdy nie przestaniesz gadać? Dopiero jak ci się powie wprost?

- Nie ma szans - uśmiechnęła się. - Zresztą dlaczego?

Potrząsnął głową.

- Bo mam już tego dość. Jeszcze chwila, a zwariuję. Wzięła to za dobry znak. Z uśmiechem klepnęła go w ramię.

- W porządku.

Minęła go i weszła do lasu. Miała nadzieję, że nie usłyszał, co powiedziała. Trudno, facet ma problemy. Ale to nie znaczy, że ona zrezygnuje ze swoich planów. Nie zostawi tych dzieci.

## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

- Zobacz, co tu jest.

Gage zerwał dorodne, złociste papaje, rosnące na pobliskim drzewie.

- Pora na lunch! - zaśmiała się Jennifer i ochoczo przyjęła podany owoc.

Otarła go o bluzę, wbiła zęby w słodki miąższ. - Przepyszny! - zamruczała, przymykając oczy. - O niebo lepszy niż krakersy i napój.

Z uśmiechem patrzył, jak z rozkoszą syci się pachnącym, nagrzanym słońcem owocem. Gdy skończyła, podał jej kolejny. Przyjemnie było na nią patrzeć. Opuszczone rzęsy rzuciły łagodny cień na policzki; smakując owoc, cichutko pomrukiwała z zadowolenia. Chyba jeszcze nigdy nie widział, by ktoś jadł w tak ujmujący sposób.

- Byłaś głodna, *cherie*?

Otworzyła oczy, popatrzyła na niego niepewnie, jakby spodziewając się, że z niej żartuje.

- Przecież jedliśmy już dawno, co najmniej pięć godzin temu. Która jest teraz? Jedenasta, dwunasta? Zwykle jem co kilka godzin. - Wzruszyła

ramionami, odgryzła kęs. - Zawsze jem często. A poza tym przepadam za owocami.

Przymknęła oczy, uśmiechnęła się, zabawnie marszcząc nosek. Wbiła zęby w soczysty owoc.

- Słyszałam, że w tych rejonach suszą papaje i kandyzują je w cukrze. To taki lokalny smakołyk.

- Owszem, nawet kiedyś próbowałem. - On też zabrał się za jedzenie. Owoc rzeczywiście był wyśmienity. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo sam zgłodniał. - Wprawdzie wolę nieco inne potrawy, ale przyznaję, że tutejsza kuchnia ma kilka niezłych dań.

- Zaskakujesz mnie. Ty, ze swoimi kreolskimi korzeniami? Gage zaśmiał się, dokończył owoc, sięgnął po następny.

- Uważasz, że cenię tylko kreolskie specjały? Jasne, że je lubię, ale nie wyłącznie. Poza tym uwielbiam proste jedzenie, tylko zwykle nieco eksperymentuję z użyciem różnych, czasami zaskakujących przypraw.

Jennifer z niedowierzaniem pokręciła głową.

- No wiesz! Nie spodziewałam się, że jesteś taki otwarty na kulinarne niespodzianki.

- A to dlaczego? - zdziwił się.

- Bo na przykład do mnie nie masz odrobiny zaufania, a eksperymentujesz z przyprawami.

Odrzucił resztkę owocu, wyprostował się.

- Zaraz lunie deszcz. To jedyna rzecz, jakiej pod tą szerokością geograficzną możemy być stuprocentowo pewni. Trzeba go będzie przeczekać. Urządzimy sobie jakieś prowizoryczne schronienie i odpoczniemy. Musimy nabrać sił. Potem ruszymy dalej.

- Zapowiada się nieźle.

Może to nawet dobrze, że tak łatwo udało mu się zmienić temat. Jej nieustanne pytania nieźle go już zmęczyły, zresztą wolał nie wracać do tamtych

spraw. Cały czas musi się mieć na baczności, nie może dać się jej zauroczyć. Nic by mu z tego nie przyszło.

Zszedł ze ścieżki na niewielką polankę. Z dwóch ponczo i kawałka liny rozciągniętej między drzewami skonstruował prowizoryczny daszek. Rozłożył na ziemi koc i zrobił zapraszający gest w stronę Jennifer.

- Pewnie tam jest pełno wilgoci?

- Nie zostaniemy tu długo.

Dziewczyna z westchnieniem wślizgnęła się pod płachtę. Podłożyła sobie plecak pod głowę. Gage podążył za nią.

Jennifer spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Chyba nie przypuszczałaś, że będę moknąć na deszczu?

- Nie pomyślałam o tym - przyznała i przesunęła się, by zrobić mu miejsce.

Prawdę mówiąc, wolałby nie być tak blisko niej. Nie widzieć ledwie rysujących się zmarszczek w kącikach oczu, mieniających się światłem niesfornych kosmyków, które wymknęły się z zaplecionego przez niego warkocza... I nie wysłuchiwać ciągłych zapewnień, że Bóg się o niego troszczy. Nie chce dyskutować na ten temat, w ogóle nie chce o tym myśleć. Chce być zły, naładowany agresją. Tylko w ten sposób udało mu się odepchnąć od siebie gorycz i rozpacz. Wie, że to działa. I nie ma zamiaru eksperymentować.

Dlaczego ludzie zawsze uważają, że wiedzą lepiej, co jest dla niego dobre?

Odepchnął od siebie natrętne myśli.

- Słyszysz, jak ptaki śpiewają? - zapytał.

Jennifer zaśmiała się cichutko, a ten śmiech poruszył go bardziej, niż mógłby się spodziewać.

- Jak mogłabym nie słyszeć?

Ta dziewczyna nie dość, że jest piękna, to ma ujmujący sposób bycia i wspaniałą osobowość. Tylko jest za bardzo wścibska, skorygował w duchu. I ta broń. Nie zapominaj o tym.

- Z tego, co wiem, skatalogowano tu sześćset dwadzieścia trzy gatunki ptaków - powiedział, starając się skoncentrować na czymś obojętnym.

- Nie sądziłam, że tyle wiesz o San Gabriel - zdumiała się. Zrobił na niej wrażenie.

- Zarabiam na życie, latając. Bywam w różnych miejscach, więc dowiaduję się o wielu rzeczach. - Zamyślił się. - Ludzie lubią opowiadać. Tutaj głównym językiem jest hiszpański, ale zdarza się usłyszeć kreolską odmianę angielskiego, choć dość rzadko. Przywieźli go przybysze z Belize.

- Interesujesz się historią?

Gage uśmiechnął się, oparł głowę na złożonych dłoniach.

- Raczej bardziej interesują mnie obce języki. Chociaż sam nigdy nie miałem czasu na naukę. Ciągłe były pilniejsze sprawy.

- Szkoda - powiedziała z żalem. Pochwycił jej spojrzenie.

- Domyślałam się, że zawsze w pierwszej kolejności myślałeś o innych, dlatego nie starczało ci czasu... - Urwała, widząc jego minę. Wzruszyła ramionami. - Trafił swój na swego.

Chętnie by ją pociągnął za język, ale wiedział, że wtedy nie obyłoby się bez kolejnych pytań. Mimo to nie mógł się oprzeć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Za późno się opamiętał. Na przyszłość siedź cicho, zbeształ się w duchu. Inaczej czekają cię kłopoty jak w banku.

- Też kiedyś taka byłam. I nadal jestem, choć staram się postępować bardziej racjonalnie.

Przypomniał sobie, jak dodawała mu otuchy. Przynajmniej raz mówi prawdę.

- Zrozumiałam, że najważniejszą rzeczą jest znaleźć w życiu coś, co cię naprawdę porywa i skoncentrowanie się właśnie na tym. To nadaje sens - powiedziała z uśmiechem.

- A co ciebie tak fascynuje? - zaryzykował.

Ten zagadkowy, przeciągły uśmiech poruszał w nim czułe struny. Czuł się, jakby dopuszczała go do ogromnej tajemnicy. Uśmiechnął się, chcąc dodać jej animuszu.

- Języki.

- Języki? W liczbie mnogiej?

Skinęła głowę. Mógłby przysiąc, że się zarumieniła.

- Tak, kilka.

Uniósł głowę, popatrzył na dziewczynę badawczo.

- No dobrze. Wiem, że znasz hiszpański. Są jeszcze inne?

- Francuski i jego kreolska odmiana.

- Och, *sans doute* - odparł sceptycznie. - Mówisz tak, bo wiesz, że to mój język.

- Nie, nie dlatego - uśmiechnęła się. - Naprawdę znam ten język.

- I francuski?

- One się tak bardzo nie różnią.

- Czyli znasz dwa i pół języka. Gratulacje. Jej mina go intrygowała.

- Powiedziała, że na tym koniec? Zaskoczyła go. Popatrzył na nią uważnie.

- A jakie jeszcze?

- Znam włoski, portugalski, niemiecki i amerykański migowy.

Nie wierzył własnym uszom. Wprawdzie mógł poprosić, by powiedziała coś w którymś z tych języków, ale skoro ich nie znał, to i tak nic by mu z tego nie przyszło. Nie sprawdzi, czy mówi prawdę, czy tylko go buja.

- Kończyłaś studia lingwistyczne? Jennifer zachichotała.

- Nie. Ale mam dobry słuch. Jako dziecko złapałam podstawy kreolskiego francuskiego, a potem przyjaciółka mamy dawała mi lekcje. Przydał mi się ten język później, bo niektóre dzieci w świetlicy... - Jej uśmiech przygasł nieco. - Kiedy zaczęłam pracować dla Stevens Incorporated, musiałam nauczyć się innych. Nasza firma prowadziła interesy na całym świecie. Nauka języków przychodzi mi łatwo, właściwie to dzięki temu dostałam tę pracę.

- Mówiłaś, że musiałaś się nauczyć - przypomniał. Uśmiechnęła się.

- Kiedy przyszłam na wstępną rozmowę, Rand Stevens rozmawiał z bratem przez telefon i wtrącił coś po kreolsku. Kiedy skończył, przedstawiłam się w tym języku. Był zdumiony, kiedy się dowiedział, że to nie jest mój ojczysty język. Od razu zapytał, czy jestem w stanie nauczyć się innych. Poszłam na kurs włoskiego i francuskiego. Potem samodzielnie uczyłam się niemieckiego, po jakimś czasie zapisałam się na kurs korespondencyjny. Nauczyłam się podstaw języka migowego, a potem chodziłam na lekcje przy parafii. Był tym prawdziwie poruszony.

- W takim razie muszę uważać, co mówię. Stropiła się.

- Wiem, że właściwie niepotrzebnie ci to powiedziałam.

Prawdopodobnie spostrzegła w jego oczach cień podejrzania, jakie przemknęło mu przez myśl, bo jej dobry humor rozwiął się bez śladu.

- Chyba się chwilę zdrzemnę - powiedziała i zamknęła oczy.

Zamyślił się. No i co powinien o tym sądzić? Czy może jej wierzyć? I czy w ogóle tego chce? Nie. Przecież z góry wie, jak to się skończy. Nie może jej ufać. Jennifer zrobi to, co dla niej będzie dobre. Własne cele są dla niej najważniejsze.

Z westchnieniem zamknął oczy. Musi być czujny. Póki nie dowie się, jaka naprawdę jest jej rola.

- Panie, proszę, chroń mnie przed wężami... proszę, trzymaj je ode mnie z daleka...

Och, dlaczego postąpiła tak nierozsądnie, gnana impulsem, bez zastanowienia? Dlaczego uciekła ukradkiem, bez słowa? Otarła z czoła pot i krople deszczu.

- Ale ze mnie idiotka! Kompletna wariatka. Boże, błagam, strzeż mnie przed wężami...

Przedzierała się ledwie widoczną ścieżką wiodącą przez gęste zarośla. Byle dalej, byle w kierunku misji.

- Ojczy, przecież wiesz, że nie mogę zostawić tych dzieci. One nie mogą czekać. A Gage jest uparty, nie przekonam go. Próbowałam być cierpliwa, ale dłużej nie mogę. I nie ufam mu. Ma takie dyktatorskie zapędy.

Poczucie sprawiedliwości przypominało jej, że nie powinna go tak surowo oceniać, że przecież tyle przeszedł, ale nie chciała słuchać głosu swojego sumienia.

Gałęzie uderzyły ją po twarzy. Z nim było dużo łatwiej, uświadomiła sobie znienacka, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak zręcznie odsuwał zagradzające drogę pędy, jak wprawnie wyszukiwał bezpieczną drogę, pilnując, by się nie poślizgnęła na grząskim gruncie.

- Panie, te dzieci na mnie liczą, ode mnie teraz zależy ich los. Misjonarze też na mnie czekają. A Gage? Czy ja mogę mu wierzyć? On wcale nie chce mi pomóc. Te dzieciaki też go nic a nic nie obchodzą. Nie pójdzie ze mną. Dla niego jest ważna tylko jego firma - dokończyła z goryczą i opamiętała się nagle.

Widać stres po rozstaniu z Benem był silniejszy, niż to sobie uświadamiała.

- Nie mam zamiaru czekać. Tym bardziej zostać z nim i dać się zaciągnąć do miasta... - Urwała, bo gdzieś nad jej głową rozległ się jakiś hałas. Wyteńczyła słuch, zastanawiając się gorączkowo, czy to może być wąż... - Zresztą, nieważne - szepnęła. - Tak czy inaczej... O nie!

Cofnęła się, zanurzając się w zieloną ścianę. Za nic nie dopuści, by Gage ujrzał ją taką jak teraz, wpatrzoną w złowieszczą przestrzeń, zagubioną i



bezradną. Musi się przed nim ukryć. Zrobiła jeszcze jeden krok w tył. Zaraz ją minie. Nie domyśli się nawet, że ona tu jest. Jeszcze tylko odrobinę się przesunie...

- Ooo!

Stopa, którą już dotykała gruntu, poślizgnęła się na śliskiej powierzchni. Jennifer zachwiała się, jeszcze rozpaczliwie próbowała odzyskać równowagę, ale wszystko to było daremne. Ze świadomością, że to przecież było do przewidzenia, że tego podświadomie się spodziewała, runęła w tył.

Zamknęła oczy, spodziewając się, że zaraz stoczy się w dół zbocza i wpadnie do rzeki. Zamiast tego, z cichym plaśnięciem zapadła się w coś miękkiego.

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

- Ojej! - wykrzyknęła rozpaczliwie, bo aż po talię oblepiała ją gęsta i zimna błotnista maź. Podniosła ręce. Brązowa masa powoli odrywała się od skóry, z głuchym plaśnięciem spadała na ziemię.

- Widzę, *cherie*, że kiedy spałem, postanowiłaś zrobić sobie błotną kąpiel.

Popatrzyła na niego stropiona. Niby się uśmiechał, ale nie trzeba było specjalnej spostrzegawczości, by wiedzieć, że jest wściekły.

Ależ fatalnie wyszło! Tak ją przyłapał!

Wszystko przez to, że zabrakło ci cierpliwości. Wiary, że Bóg wszystkim pokieruje. Teraz widzisz, do czego to prowadzi! - skarciła się w duchu.

Zrobiła niewinną minę, udając, że nie słyszy sarkazmu w jego głosie. Oboje świetnie wiedzieli, dlaczego uciekła. Ale na pewno nie będzie z nim teraz o tym rozmawiać.

- To całkiem przyjemne - blefowała. Tak się pogrążyć w jego oczach!  
Ależ to fatalnie wyszło! - Choć przyznam, że nie od razu udało mi się znaleźć odpowiednie miejsce.

- Domyślam się. - Popatrzył na zegarek. - Zabrało ci to dokładnie dwie godziny i czterdzieści pięć minut.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Aż tyle? Skinął głową.

- A można by sądzić, że w takiej dżungli to nie powinno sprawić żadnego problemu.

Gage skrzyżował ramiona.

- Nie masz zamiaru stamtąd wyjść? Wydaje mi się, że trochę szkoda czasu.

Nie zaproponował pomocy, a ona z całą pewnością nie poprosi. Choć Gage czeka na to, widać to wyraźnie. Jennifer rozejrzała się wokół. Potężny palmowy liść był całkiem blisko. Uśmiechnęła się do Gage'a, wyciągnęła rękę i złapała liść, próbując przy jego pomocy wydostać się z bagniska.

Liść ugiął się i pękł z głośnym trzaskiem; dziewczyna poleciała w tył i z krzykiem ponownie wpadła w błotnistą maź. Tym razem zanurzyła się całkiem.

Błagalnym gestem wyciągnęła przed siebie ręce. Mocne dłonie chwyciły ją za nadgarstki, pociągnęły z siłą. Jeszcze chwila, a stanęła na twardym gruncie.

- Och, jakie to... - Urwała, bo gdy zaczęła mówić, poczuła w ustach smak błota.

- Nie ruszaj się przez moment. Poczekaj, aż wytę ci twarz, chyba że chcesz połknąć to błoto.

W milczeniu, z odrazą wypluwała cuchnącą zgnilizną maź, podczas gdy Gage pedantycznie ścierał błoto oblepiające jej twarz.

- Mam u ciebie nowe buty - mruknął Gage, wycierając teraz jej kark i uszy.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś tak się o nią troszczył. Było to takie przyjemne. Naprawdę fajny facet z tego Gage'a, chociaż tak trudno go przekonać, by zmienił decyzję. Ona naprawdę nie może iść z nim do miasta.

Otworzyła oczy, popatrzyła na niego uważnie. W skupieniu wycierał z niej błoto. Nie potrafiła zgadnąć, o czym on może teraz myśleć. Chyba musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo niespodziewanie podniósł oczy i popatrzył na nią. Żadne z nich się nie poruszyło.

Jego głos był tak cichy, że ledwie do niej docierał przez poszum drzew i dochodzące ze wszystkich stron nieodgadnione odgłosy natury.

- Nie mogę tego pojąć. Skąd między nami ta fascynacja?

Przełknęła ślinę.

Do tej pory wmawiała sobie, że to tylko ona nieoczekiwanie dała się zauroczyć, a jeśli nawet było inaczej, to nie chciała o tym wiedzieć. Ale teraz, kiedy zostało to głośno powiedziane, sytuacja się zmieniła. Nie da się cofnąć słów. Słów szczerych aż do bólu. Kolejny ruch należy do niej. Co powinna zrobić? Chyba pozostaje wyłącznie szczerść.

- Ja też nie wiem.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Pochylił się wolno.

Odgadła, co zamierza zrobić. Pragnęła tego pocałunku, ale w ostatniej chwili odepchnęła go.

Gage jednak trzymał ją mocno, nie pozwalając upaść. Przesunął po niej przenikliwym spojrzeniem.

- Coś nie tak? Bezradnie potrząsnęła głową.

- Gage, przepraszam. Ale widzisz, Bóg jest dla mnie na pierwszym miejscu. Zawsze tak było. I nie chcę ryzykować, gdy nie wiem, na czym stoję.

Mogła powiedzieć, że mu nie ufa, że zbyt wiele ich dzieli, ale w gruncie rzeczy chodzi o sprawę najistotniejszą, fundament, na którym opiera całe swoje życie. Jeśli nie podziela jej poglądów, jeśli dla niego Bóg nie jest najwyższą wartością, to nigdy nie dojdą do porozumienia.

Stał w milczeniu. Patrzyła na niego ze ściśniętym sercem. Wreszcie odwrócił się i ruszył przed siebie. Przepelniła ją rozpacz i żal, ale z drugiej strony cieszyła się, że wyłożyła mu swoje stanowisko, nim do czegoś doszło. Teraz przynajmniej wie, czego się trzymać.

Zaczekał na nią na ścieżce. Szła ostrożnie, zważając na każdy krok. Wiedziała, że w razie czego może na niego liczyć... choć wołała nie korzystać z tej pomocy.

Szedł pierwszy, nie oglądając się, ale odsuwając przed nią gałęzie. Pewnie jest wściekły, a mimo to zachowuje się jak dżentelmen. Jeszcze bardziej tym ją sobie zjednuje. A z drugiej strony nie chce iść z nią po te dzieci, myśli wyłącznie o własnej firmie. O tym stale powinna pamiętać. Więc skąd to nagłe przekonanie, że może się w nim zakochać?

- Tędy. - Gage odsunął gałąź i wskazał przejście. - Spostrzegłem to miejsce, gdy szedłem po ciebie. Skorzystasz?

Zaskoczona, popatrzyła na strumyczek wijący się wśród bujnej roślinności. Ze ścieżki był niewidoczny. Trzeba było wejść głębiej, by go spostrzec. Woda szemrała cicho.

Uśmiechnęła się do Gage'a z wdzięcznością.

- Dzięki.

Coś dziwnego przemknęło w jego oczach. Odwrócił spojrzenie i skinął głową.

Podeszła do strumyka i przyklękła, by chłodna woda obmyła ją z błota. Z prawej strony dobiegło ją pluskanie: to Gage, pochylony nad wodą, korzystał z okazji, by się umyć. Kiedy skończył, usiadł i czujnie przyglądał się okolicy.

Jennifer splukała włosy, położyła się na trawie, by obeschnąć. Ptaki śpiewały, ze wszystkich stron dobiegały odgłosy natury. Jennifer przymknęła oczy, w milczeniu wsłuchiwała się w ciszę. Było tak błogo.

- Jestem wierzący - nieoczekiwanie odezwał się Gage. Zaskoczyło ją to nagłe wyznanie. Poczwała ulgę. Milczała.

- Trochę w życiu przeszedłem - ciągnął Gage. Miała wrażenie, że robi to chyba wbrew sobie. - Nie chcę teraz do tego wracać. Nie lubię zbyt wiele o sobie mówić, obnażać się, choć kobiety często tego oczekują. Krótko mówiąc, doszedłem do wniosku, że choć Bóg obdarza nas swoją miłością, to poddaje nas próbom, przez które musimy przejść, pokonać je własnymi siłami. On się nie wtrąca. Sami, na własnej skórze, musimy doświadczyć trudów życia.

Zasmucił ją tym stwierdzeniem, choć z tymi kobietami rzeczywiście miał trochę racji.

- Mnie też nie było lekko - odezwała się. - Ale mimo to wierzę, że Bóg nas nigdy nie opuszcza. Jest w modlitwie, do niego uciekamy się w potrzebie. Niesie pociechę, gdy człowiekowi jest ciężko na duszy. Każe nam wierzyć i ufać. I zawsze czuwa nad nami, nawet gdy myślisz, że tak nie jest, zwłaszcza gdy życie cię doświadcza. A jeśli w to nie wierzysz, nie ma sensu Mu służyć.

Wiedziała, że choć milczy, uważnie słucha jej słów. Patrzył gdzieś w dal. Nie zdziwiło jej, że kiedy się wreszcie odezwał, zmienił temat.

- Powiesz mi, w jaki sposób ta broń znalazła się na pokładzie samolotu?

- Już ci mówiłam, że nie wiem. Naprawdę. Musisz mi po prostu uwierzyć.

- Serce się jej ścisnęło, gdy widziała wyraz jego twarzy. - Gdybym wiedziała, tobym ci powiedziała. Nie lubię broni, boję się jej.

- Przemysł broni a osobiste odczucie to dwie różne sprawy. Tu chodzi wyłącznie o pieniądze, Jenny.

Ciekawe, czy świadomie tak się do niej zwrócił. Tylko mama tak ją nazywała. Jednak w jego ustach brzmiało to bardzo na miejscu.

- Wiem. Mogę cię tylko zapewnić, że nie mam z tym nic wspólnego. Musisz mi wierzyć na słowo.

W jego oczach mignął jakiś cień. Chciał jej wierzyć, ale zbyt wiele przemawiało przeciwko niej. Nie potrafi.

- Nie mogę.

- Moje słowa niczego nie zmieniają, prawda? - zapytała.

- Jenny, *cherie*, nie o to chodzi. To naprawdę poważna sprawa. Jeśli przyłapią mnie na przemyście broni, moja firma leży. A tego za nic nie chcę.

Nie powiedział tego wyraźnie, ale powoli cała sprawa stała się jasna. Ta firma jest wszystkim, co ma. Całym jego oparciem. Być może jest to świadomy wybór, kto wie? Choć jeśli wcześniej rozczarował się do innych, prawdopodobnie tak właśnie jest.

- Oślaniasz się w ten sposób.

- To moja sprawa - uciał.

Skinęła tylko głową, no, bo co mu mogła na to odpowiedzieć?

Gage wstał, ruszył z miejsca. Dochodzili do ścieżki, gdy zatrzymał się raptownie. Zamarli w miejscu, zamienili się w słuch. Cisza dźwięczała w uszach. Oboje nasłuchiwali w napięciu. Już myślała, że to przedwczesny alarm, gdy naraz sama usłyszała niosące się z daleka odgłosy rozmowy i śmiechu.

- Idą tutaj. Szybko!

Popchnął ją w gęste zarośla, sam wsunął się za nią. Sytuacja była poważna. Teraz, w pełnym słońcu, łatwiej było ich spostrzec.

- Szukają rebeliantów - wyszeptała Jennifer, wsłuchując się w głosy żołnierzy, którzy pojawili się w polu widzenia. Jeden z nich pochylił się, by nabrać wody; drugi oparł karabin o drzewo, przy którym jeszcze niedawno odpoczywali. - Jest ich więcej. Z tyłu...

Gage położył palec na jej ustach, bo żołnierze nieoczekiwanie ucichli.

Nie miała pojęcia, dlaczego to dotknięcie tak ją poruszyło. Ale tak było.

Trzask jakiejś gałązki wyrwał ją z tego stanu. Przysunęła się do Gage'a, by lepiej widzieć żołnierzy. Szeptali coś do siebie, w końcu ruszyli wzdłuż strumienia, od czasu do czasu zerkając w mijane zarośla.

Minęła dłuższa chwila, nim Gage upewnił się, że odeszli na dobre. Przekręcił się na plecy i popatrzył na dziewczynę. W jego oczach było coś, co ją zaniepokoiło.

- Co się stało? - zamarła, zdjęta dziwnym lękiem.

- *Cherie*, tylko proszę cię, bez paniki. Słyszysz?

Zesztywniała z przerażenia.

- Dlaczego?

Nie musiał nic mówić. Sama już wiedziała. Gałąź znowu musnęła jej ramię.

Cichy okrzyk mimowolnie wyrwał się z jej ust.

- Nie ruszaj się.

Gałąź dotknęła ją wyżej, tuż przy szyi. Jakby jakiś ciężar zawisł w wycięciu jej bluzy. Zrobiło się jej gorąco. Jęknęła ponownie.

Gage wyciągnął rękę w stronę węża.

Coś zimnego dotknęło jej szyi. Nieoczekiwanie stanął jej przed oczami obraz pokąsanego przez węża dziecka. Krzyknęła z przerażenia. Rozpaczliwy, nabrzmiały lękiem okrzyk przeszył powietrze. Spłoszone ptaki poderwały się do lotu, gdzieś niedaleko odezwało się jakieś zwierzę.

Gage złapał węża, ściągnął go z Jennifer, ale ona nie czekała. Jak szalona wybiegła z zarośli. Krzyczała.

Gage odrzucił węża, pobiegł za nią.

Ogarnięta histerią, biegła na oślep, z twarzą białą jak papier. Na widok Gage'a wpadła mu prosto w ramiona. Łkała.

- Biegnijmy! Szkoda czasu!

W tej samej chwili za nimi rozległy się odgłosy strzałów. Żołnierze byli coraz bliżej.

Rozpaczliwie przedzierali się przez krzaki. Gage ciągnął za sobą dziewczynę. Jennifer już nie krzyczała, z przerażenia nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Przepraszam... ja nie chciałam - zaklinała się zdyszczym szeptem, starając się uciekać jak najszybciej. - Naprawdę nie chciałam...

- Potem!

Powinien być bardziej czujny, bardziej przewidujący. Sam jestem temu winien, beształ się w duchu. Daremnie starał się zgubić prześladowców. Deptali im po piętach.

- Wiedzą, kim jesteśmy. Mówili, że jak nas złapią, to dostaną nagrodę.

- No nie! - Tylko tego mu było trzeba. - To znaczy, że będą gonić nas do upadłego.

Popchnął ją przed siebie, znów rozległy się strzały.

- Strzelają do nas!

- Naprawdę? - parsknął, nie zwalniając biegu i pociągając ją za sobą w zarośla.

- Och, nie... - jęknął nagle. Przestraszona, chwyciła go za rękę.

- Co, co się stało? - Gage się zatrzymał. Przerazona, objęła go ramieniem.

- Trafili cię?

Zakrywał twarz rękami, mówił coś do siebie.

- Moje oczy. Nic nie widzę. To ta gałąź... - Urwał, po chwili powiedział głośno: - Nic nie widzę!

Poczują, że oboje zapadają się w otchłań.



## *ROZDZIAŁ ÓSMY*

Ogarnęła ją panika. Jak to możliwe, że on nic nie widzi? Przecież to koniec.

„Wierz we mnie, a ja cię nie zawiodę”, nieoczekiwanie przypomniała sobie te słowa i z ulgą poczuła, że spływa na nią spokój.

- Chodźmy. Oprzyj się o mnie - zarządziła, przytrzymując go mocno i pociągając za sobą naprzód.

Ten marsz nie był łatwy. Splątane gałęzie zagradzały drogę, kolce wbijały się w skórę, stopy grzęzły w wilgotnym, nierównym podłożu. Gage kilka razy tracił równowagę, potykał się, nie widząc drogi. Powietrze drżało od strzałów. Jennifer nie poddawała się. Podtrzymując Gage'a, uparcie posuwała się do przodu. Zrobili dużą pętlę, niemal wracając do punktu wyjścia. Miała nadzieję, że ten manewr zmyli żołnierzy. Na pewno nie spodziewają się, że uciekający mogli zrobić coś takiego.

Stopniowo głosy żołnierzy słabły, wreszcie zapanowała cisza. A więc ten ryzykowny plan chyba się powiódł. Jennifer zatrzymała się. Nadal muszą być czujni. W dodatku nierówny teren nie sprzyjał ucieczce. Najlepiej zrobią, jeśli się gdzieś ukryją. Może uda się znaleźć jakieś schronienie. Ale najpierw musi obejrzeć oczy Gage'a. Ciągle je pocierał, pewnie go piekły.

- Usiądź tutaj - poprosiła, popychając go delikatnie na porośnięty mchem kamień.

Zamruczał coś po swojemu. Może dobrze, że tego nie słyszę, zreflektowała się w duchu Jennifer. Z pewnością, nie przebierając w słowach, wyrzeka na swój los.

Wyjęła z plecaka butelkę z wodą, odciągnęła mu z twarzy ręce i zmusiła, by odchylił głowę w tył.

- Nie ruszaj się. Muszę przepłukać ci oczy - powiedziała i pochyliła butelkę.

- Daj mi spokój! Nie chcę!

- Przestań. - Niemal siłą uniosła zaciśniętą powiekę i chlusnęła wodą. - Koniecznie trzeba je przemyć - wyjaśniła, powtarzając to samo z drugim okiem.

- No i jak teraz?

Gage przetarł oczy wierzchem dłoni.

- A jak myślisz? - Skrzywił się.

- Pokaż. - Przysunęła się do niego. - Zabierz ręce i...

- Nie mów do mnie jak do małego dziecka - zirytował się. Jennifer łagodnie dotknęła jego policzka.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedziała uspokajająco.

Te słowa chyba działały cuda, bo opuścił ręce.

- No dobrze - mruknął. - Zobacz.

Ciągle przymrużał oczy. Miał mocno zaczerwienione białka, pewnie je zatarł. Cofnął się lekko, gdy spróbowała otworzyć mu szerzej powieki.

- Okropnie mnie pieką.

Puściła jego głowę, ujęła go za rękę. Była przerażona. Oczywiście, za nic nie może się przed nim zdradzić z tym, co czuje. Ale strach wręcz ją paraliżował. Boże, błagam cię, pomóż, modliła się w duchu.

- Myślę, że masz podrażnioną rogówkę.

- A więc teraz przypadła ci rola pielęgniarki, co? Jennifer westchnęła ciężko.

- Daj spokój. Powiedz mi, co widzisz? Przymrużył oczy, rozejrzał się wokół niepewnie.

- Zieleń i brąz, i dużą białą plamę w miejscu, gdzie siedzisz.

- To znaczy, że są mocno podrażnione. - Nie wypuszczała jego dłoni.

Gorączkowo zastanawiała się, co mu powiedzieć. - Wiesz co - rzekła po dłuższej chwili - miałam kiedyś coś podobnego. Musiałam nosić przepaskę na

oczach, by dodatkowo ich nie narażać. Zasłonięte szybciej się goją. Lekarz powiedział, że jeśli tego nie zrobię, będzie coraz gorzej.

- Niestety, nie mamy nic takiego. Do szpitala też daleko. Zresztą nawet gdyby był, to i tak...

- Gage, mówię poważnie. Teraz i tak nie widzisz. Więc co za różnica, jeśli je zakryjesz?

- Jak mam to rozumieć?

- Zasłonię je do czasu, aż poczujesz się lepiej.

- No tak! Wspaniały pomysł! Tylko tego nam jeszcze potrzeba I co teraz z nami będzie? Ty nas stąd wyprowadzisz?

Starła się nie okazać przykrości, jaką sprawiły jej te gorzkie słowa. Wiedziała, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, przeraża go nie mniej niż ją. W dodatku przez te oczy czuje się teraz całkowicie bezbronny.

- Będziemy działać rozsądnie, bez pośpiechu. Rozejrzę się, może uda się znaleźć jakieś bezpieczne schronienie, przeczekamy do jutra. Może do tej pory poczujesz się dobrze?

Zacisnął usta, wiedziała, że walczy z myślami.

- Nie ufam ci - powiedział wreszcie.

Tym razem nie zdołała zapanować nad własnymi uczuciami. Wyszarpnęła dłoń. Przełknęła ślinę, dławilo ją w gardle. No tak, już przecież nieraz go zawiodła. A jeśli zapewni, że to się nie powtórzy? Może to coś zmieni, pomoże? Nie, nie powie tego.

- Chyba nie masz wyboru - skostatowała.

Sięgnęła po plecak, wyjęła podręczną apteczkę, znalazła bandaż. Zdecydowanym gestem pochyliła się nad Gage'em i starannie zabandażowała mu oczy.

- Tylko teraz nie odchodź ode mnie, *cherie*, rozumiesz? - odezwał się nieoczekiwanie.

- Nie odejdę, Gage - zapewniła go miękko. - Chodźmy.

Założyła mu plecak i pomogła się podnieść. Pochyliła się po swój bagaż. Kiedy już była gotowa, pomogła mu wesprzeć się na jej ramieniu, a sama objęła go w tali.

- Rozejrzyj się, może gdzieś jest jakaś grotka czy wgłębienie w skale. Tylko pamiętaj, że to musi być coś, co nie rzuca się w oczy, coś zamaskowanego, by można bezpiecznie tam...

- Gage.

Zacisnął usta, umilkł.

- Wiem, że nie ma sensu powtarzać ci, żebyś się nie martwił. Dlatego tego nie robię. Jednak jeszcze raz ci przypomnę, mimo iż to również jest oczywiste, że nie masz wyboru. Więc nie utrudniaj sprawy.

Nie odpowiedział, ale podążył za nią. Szedł, nie odzywając się, ale po kurczowym uścisku jego palców wiedziała, w jakim jest stresie. Każdy krok był dla niego wyzwaniem.

Jasne, że za nic jej tego nie powie. Mężczyźni już tacy są.

- Uważaj teraz... - Przytrzymała go mocniej, gdy zachwiał się, stawiając stopę na nierównym gruncie.

- Nic z tego nie będzie. Wezbrała w niej złość.

- Nie będzie, jeśli nadal będziesz taki uparty. Zatrzymał się. Przez mgnienie stał nieruchomo, wreszcie

jego twarz rozjaśnił lekki uśmiezek.

- Widzę, że róża ma kolce, panno Rose.

- Słuchaj, tylko bez tych dowcipów o różach. Tyle się ich nasłuchałam, że mam już tego serdecznie dość. To nieładnie naśmiewać się z czyjegoś nazwiska.

Gage rozluźnił się nieco, Jennifer odetchnęła z ulgą.

- Nawet byś nie uwierzył, jak często się to zdarzało. I jak różne to były żarty - dokończyła, prowadząc go dalej.

Szli tak dobre dwie godziny. Nie było lekko. Starła się wybierać drogę, odsuwać zagrażające przejście gałęzie. Brakło jej sił. Musi się zatrzymać, chwilę odpocząć.

- Gdzie jesteśmy?

Popatrzyła na siedzącego pod drzewem Gage'a. Usiadła obok niego, westchnęła.

- Zatoczyliśmy duże koło - wyjaśniła. - Jesteśmy jakieś półtora kilometra od rzeki, niedaleko tamtego bagniska - dodała, by lepiej go zorientować.

- Wróciliśmy z powrotem?

- Nie panikuj - uspokajała. - Pomyślałam, że tu nie będą nas szukać.

- No nie... - Urwał i westchnął zrezygnowany. - Nie wydaje mi się, że to dobry pomysł. Boję się, że żołnierze będą nas tropić w pobliżu rzeki.

- Odpocznijmy chwilę, potem ruszymy dalej. Cofniemy się trochę, może znajdziemy jakąś jaskinię.

- Jak to? Nie pójdziemy w stronę misji? - zadrwił. Jennifer zaśmiała się cicho.

- Dopiero jak nabierzemy sił.

Znów zacisnął usta. Na ten widok dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

- Widzisz, jak to jest, kiedy ktoś tobą komenderuje, a ty nie masz nic do powiedzenia?

Oboje milczeli. Po kolei przypominała sobie wydarzenia dzisiejszego dnia, ucieczkę przed żołnierzami, przyczynę, która doprowadziła do pościgu. Westchnęła ciężko.

- Przepraszam, że tak się zachowałam.

Szum szarpanych wiatrem drzew mieszał się z odgłosami dżungli, kwiaty o egzotycznych kształtach i olśniewających barwach pogłębiały otaczającą ich zielen. Wszędzie mogło czaić się niebezpieczeństwo, to oni byli tu obcy.

- Nadal twierdzisz, że nie boisz się węży?

Wolała unikać tego tematu, ale w końcu sama dała mu impuls do tego pytania.

- To może niedokładnie tak - zaczęła. - Nie, żebym się ich bała, tylko...

- Tylko cię przerażają - dokończył za nią.

- Nie, to też nie tak. Po prostu... - Urwała, szukając właściwych słów. - Czasami prześladują mnie we śnie... widzę, jak kogoś zabijają.

Gage przez dłuższą chwilę milczał.

- Czy tak zdarzyło się w rzeczywistości? - dopytywał się, chcąc ułatwić jej zadanie. - Czy ktoś, kogo znałaś, został śmiertelnie pokąsany?

Jej szept był tak cichy, że ledwie słyszalny.

- Tak.

Otoczył ją ramieniem, o nic więcej nie pytał. Ten gest ośmielił ją, przerwał tamę. Poczula, że chce mu opowiedzieć, wyrzucić z siebie wszystko, ale milczała.

Oparła głowę na jego ramieniu. Jego obecność dodawała jej otuchy, czerpała z niej siłę.

- Opowiedz mi o tym, *cherie*.

- Nie mogę.

Znowu zaległa cisza. Tym razem to Gage ją przerwał:

- Wygląda na to, że oboje jesteśmy strasznie uparci. Oboje przede wszystkim chcemy być niezależni, oboje chcemy liczyć tylko na siebie.

- Chyba tak - przyznała.

- Ale okazuje się, że w życiu nie zawsze jest to możliwe. Jak teraz.

Jennifer roześmiała się cicho.

- Chcesz powiedzieć, że to było celowe działanie? Że Bóg pozwolił ci podrażnić oczy, byśmy byli skazani na wzajemną pomoc?

W milczeniu przetrwał jej słowa.

- Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, to już się stało. Musimy działać razem. - Westchnął. - W takim razie, co proponujesz teraz?

Odpowiedział mu czyjś głos. Miał obcy akcent.

- Proponuję, *señor*, wstać i nie ruszać się. Oto co proponuję. Zdrętwiał. Jennifer szarpnęła głową. Przytknięta do szyi Gage'a lufa błysnęła złowrogo.

Podążyła za nią wzrokiem. Jeden z żołnierzy, którzy ich wcześniej ścigali, trzymał wymierzony prosto w nich karabin i uśmiechał się od ucha do ucha.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

- Co się dzieje?

Gage poruszył się niespokojnie, a Jennifer łagodnym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jesteśmy w ich obozie. Siedzimy pod drzewem. - Popatrzyła na jego zabandażowane oczy i westchnęła ciężko. - Dobrze, że przynajmniej nie związali ci nóg. No i ja jestem wolna. Pewnie uznali, że jesteś zupełnie bezbronny, a ja śmiertelnie przerażona. - Zaśmiała się nerwowo.

Gage zamamrotał coś pod nosem.

- Ilu tu jest żołnierzy?

- Czterech. Są ci dwaj, którzy nas tu przyprowadzili i jeszcze dwóch innych. Ale widziałam dwa pojazdy i mam przeczucie, że czekają na resztę oddziału.

Ukradkiem zerknęła na zabawiających się żołnierzy. Popijali coś i grali na pieniądze, śmiejąc się gromko. Jeden z nich, dwa razy większy od Gage'a, splunął, otarł usta i popatrzył w stronę schwytanych.

Nie chciała się głośno przyznać, ale bała się nie na żarty. W drodze do obozu poszturchiwano ich bezceremonialnie, a przez ostatnią godzinę niemal bez chwili przerwy, zaśmiewając się złowieszczo, głośno rozprawiali, co z nimi zrobią, gdy oddział będzie w komplecie. Od tych opowieści włosy stawały jej

dęba, ale zmuszała się, by niczym nie zdradzić się przed Gage'em. Lepiej, żeby nie wiedział.

- O czym mówią? - zapytał Gage. Westchnęła, nadstawiła uszu.

- O nagrodzie za nasze schwytanie... - powiedziała. - I o tym, co nas czeka.

Gage zacisnął pięści, zaciął usta. Widząc utkwiony w nich wzrok żołnierza, Jennifer lekko dotknęła ramienia Gage'a.

- Patrzą na nas.

- Wyjdziemy z tego, zobaczysz. Nie pozwolę, żeby... nam coś zrobili.

Uśmiechnęła się blado.

- Domyślam się, że pewnie wyda ci się to dziwne, ale mam przeczucie, że Bóg nad nami czuwa i wszystko się dobrze skończy.

Gage skrzywił się lekko.

- Zobaczymy - mruknął. - Ale też nie zaszkodzi, byśmy coś obmyślili.

Jennifer westchnęła cichutko, odwróciła się do niego.

- Gage, uważasz, że celowo to zrobiłam?

Ta myśl stale ją zadręczała. Gdy wpadli w ręce żołnierzy, Gage był wyjątkowo spokojny, jakby zrezygnowany. Jasne, że jej nie ufał. Z zawiązanymi oczami dawał się prowadzić jak dziecko, ale z pewnością nie wierzył w żadne jej słowo. Poczula jak strużki potu spływają jej po plecach i po dekolcie. W napięciu czekała na odpowiedź.

Gage długo milczał, westchnął wreszcie.

- Nie, nie myślę, że maczałaś w tym palce. Nie wiem czemu, ale jednak ci wierzę. I pewnie jeszcze się na tym przejadę - dokończył gorzko.

Był przepełniony uczuciem zniechęcenia i żalem, ale te słowa to już jakiś początek.

- Postaraj się nadal udawać kompletnie bezradnego, może jakoś uda nam się stąd wyrwać.



- Jestem bezradny. - Otarł spoconą twarz o bark. Ze związanymi rękami nic więcej nie mógł zrobić.

Uśmiechnęła się do siebie. Dla niej nie był bezradny, nawet skrepowany sznurami.

- Ale wcale na takiego nie wyglądasz - pouczyła go. - Wręcz przeciwnie. A jeśli zwiążą ci nogi, to koniec, już się im nie wymkniemy. Na razie są przekonani, że nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Udawaj biedaczynę. W dodatku nasze plecaki są niedaleko. Zabrali tylko maczetę.

- To tylko świadczy o ich głupocie.

- To świadczy o przekonaniu, że nic nie zrobimy. Westchnęła i dyskretnie otarła spoconą szyję.

- Straszny upał. Ten żar chyba ich też osłabia, może dlatego nie są zbyt przenikliwi... - Urwała. - Och!

- Co? - błyskawicznie zareagował na jej zmieniony głos.

- Ten ogromny żołnierz. Patrzy na nas i wstaje.

Gage wyteżył słuch, ale odgłosy dżungli zagłuszały rozmowę żołnierzy.

- Mów mi, co się dzieje. Jennifer, ściągnij te bandaże, muszę coś widzieć.

- Nie... - Z lewej strony dobiegł go napięty głos dziewczyny. Zaraz potem rozległ się jakiś zduszony dźwięk i okrzyki po hiszpańsku.

Próbował ruszyć jej na odsiecz, ale potężne ręce chwyciły go i poderwały w górę.

- Jennifer? Jenny!

- Już dobrze, nic mi nie jest - usłyszał jej zdyszany głos. - Chodziło mu o ciebie.

Gwałtowny potok hiszpańskich słów oszołomił go. Rozumiał tylko, że mówi coś o broni i samolocie.

- Nie rozumiem, ty... Och!

Jęknął i zgiął się wpół, gdy potężna pięść trafiła go w brzuch. Jennifer krzyknęła, ale ból był tak wszechogarniający, że nic więcej już do niego nie docierało.

Żołnierz powtórzył pytanie, znowu go uderzył. Tym razem Gage był niemal pewien, że zaraz zwymiotuje.

Dziewczyna krzyczała coś po hiszpańsku; żołnierz puścił go i pchnął do tyłu.

Nie mógł się podnieść. Jennifer krzyknęła, rozległy się odgłosy szarpaniny.

- Jenny! - Próbował się poderwać na kolana, wściekły na własną bezradność.

Naraz była tuż przy nim, krzycząc i złorzecząc po hiszpańsku, z furią rzucając słowa w twarz oprawcy.

- Nic ci nie jest? - pytał gorączkowo, przerażony, bo jeszcze nigdy nie była tak zdenerwowana.

Objęła go mocno, nie przestając krzyczeć po hiszpańsku. Usłyszał chrapliwy śmiech, potem ciężki odgłos kroków. Żołnierz zaczął się oddalać.

- Jenny, odpowiedz mi. Nic ci nie jest? Przysunęła twarz tuż do niego.

- Nic - szepnęła mu do ucha. - Chciałam ich przekonać, że umieram ze strachu. Podejrzewali, że coś knujemy i chcieli wybić nam to z głowy.

To wyjaśnienie wcale go nie uspokoiło.

- I co się stało? Co on ci zrobił?

Obejmowała go mocno. Czuł szybkie bicie jej serca. Jej uścisk sprawiał przyjemność, ale drżenie rąk zdradzało dziewczynę.

- Chciał pokazać, że to on tu rządzi.

- Jennifer. Mam bujną wyobraźnię. Powiedz, że nie było aż tak, jak podejrzewam - dokończył z napięciem.

- Złapał mnie i próbował pocałować. Zadowolony? Odsunęła się od niego. Uświadomił sobie, że to wyznanie ją zmieszało.

Z trudem się powstrzymywał. Nie może być wściekły, powinien ją teraz pocieszyć, dodać otuchy. Oparł się o pień.

- Chodź do mnie, *cherie*. Przytul się na chwilę.

Przysunęła się, położyła głowę na jego ramieniu. Westchnęła cicho.

Serce w nim topniało.

Instykt ostrzegał go, kazał natychmiast opamiętać się. Ale już było za późno. Obchodzi go ta dziewczyna. Nigdy dotąd nie spotkał nikogo takiego jak ona. I kiedy tak, czerpiąc siły, leżała w jego objęciu, zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział kogoś tak odważnego.

Odchylił głowę w bok, potarł policzkiem o jej włosy.

- Już dobrze, *cherie*. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Nie martw się.

Od strony żołnierzy dobiegł wybuch śmiechu. Gage skrzywił się.

- Gage, nic mi nie jest, naprawdę. Ja... dziękuję, że ze mną jesteś.

Przepraszam, że przeze mnie wpadliśmy w takie tarapaty.

- Wyjdziemy z nich. Nie przejmuj się.

- Ty. Kobieta.

Gage zeszywniał. Jennifer też.

- Masz na szyi prawdziwy krzyżyk?

Jennifer podniosła wzrok, popatrzyła na stojących nad nimi dwóch żołnierzy.

- O co on pyta?

Dotknęła dłonią wiszącego na szyi łańcuszka.

- O ten krzyżyk.

Żołnierz szarpnął ją w górę, Gage zeszywniał.

- Nie, Gage - powstrzymała go. - Poczekaj.

Drugi żołnierz wycelował w niego karabin, poruszył cynglem. Gage zamarł w miejscu.

- Gage, błagam cię. Zaufaj Bogu. I mnie.

Nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy świadczył, że jest wściekły.

Żołnierz doprowadził ją do tego czwartego, który do tej pory zdawał się nimi nie interesować.

- Jesteś *religioso*? - zapytał.

W jednej sekundzie przypomniała sobie mrożące krew w żyłach opowieści o torturach i zamęczonych na śmierć misjonarzach. Przerazenie zapierało jej dech, ale za nic im tego nie okaże. Uniosła dumnie głowę, starając się ukryć strach.

- Tak, jestem - odpowiedziała po hiszpańsku. - Jedziemy na misję w Lahara. Nasz samolot się rozbił.

Mężczyzna przyglądał się jej uważnie. Zatrzymał wzrok na krzyżyku.

- Lahara. Znam tę misję. Tam pomogli mojej siostrze. To dobre miejsce. Jennifer odetchnęła.

- Bardzo dobre.

- Ale to wcale nie wyjaśnia, skąd wzięła się broń. - Spochmurniał.

Popatrzyła na niego bezradnie. Przecież dobrze wie, że rząd walczy z rozszerzającą się rebelią, a każda dostawa broni czyni tę walkę bardziej krwawą i beznadziejną. I cóż może mu na to rzec? Boże, błagam cię, pomóż.

- My też tego nie wiemy, *señor*. Tylko to, że ktoś załadował ją na samolot bez naszej wiedzy.

Mężczyzna popatrzył na nią przenikliwie, ponownie spojrzął na krzyżyk, jakby coś rozważał. Wreszcie odwrócił wzrok, skrzywił się.

- Nie wierzę ci, ale póki nie przyjedzie nasz dowódca, jesteście bezpieczni. Potem zobaczymy.

Dzięki ci, Panie, szepnęła w duchu.

- Gage - wyszeptała, ale nie słuchał, tylko pchał ją do przodu. Skinął na czekającego w milczeniu żołnierza, ten z ponurą miną odprowadził ją pod drzewo. Karabin ciągle dotykał głowy Gage'a.

- Jenny?

Dopiero teraz odetchnęła z ulgą. Jak miło brzmi jej imię wypowiedziane w taki sposób.

- Jestem. Chcieli wiedzieć, kim jesteśmy i dlaczego noszę krzyżyk. Gdy wyjaśniłam, że zmierzamy na misję, puścili mnie.

Gage skrzywił się.

- Naprawdę tak było. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. - Pytali też o broń. Powiedziałam, że nie mamy z tym nic wspólnego. Nie uwierzyli, ale obiecali zostawić nas w spokoju, póki nie przyjedzie dowódca. On nas wypyta.

- Ściągnij mi te bandaże. Przecież muszę widzieć, co się dzieje. Jennifer westchnęła.

- Jeśli tylko zacznę to robić, nie dość, że zaraz mnie powstrzymają, to jeszcze zaczną bardziej pilnować. Uznają, że jesteś niebezpieczny. Proszę cię, poczekaj jeszcze trochę. Zobaczymy, co czas przyniesie.

- Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś, prawda? Odwróciła się, zaskoczona. Skąd on to wie?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Zapomniałaś, *cherie*, że trochę rozumiem hiszpański. Słyszałem, jak mówili, że byłoby lepiej, gdybyśmy byli martwi.

A więc jej nadzieje okazały się płonne.

- No więc?

- Dobrze słyszałeś. Jeden z nich tak powiedział. Wtedy by dostali nagrodę od rządu. I nieważne, że jesteśmy Amerykanami. Liczą na to, że ich dowódca ma podobne zdanie. Ale tamten drugi obiecał nam bezpieczeństwo do jego powrotu.

Gage zamruczał coś po swojemu.

- Wiesz, że za każdym razem, jak jesteś zły, mówisz do siebie po kreolsku?

Gage umilkł, podniósł głowę.

- To dawne przyzwyczajenie. Kiedy byłem w Korei, wolałem, by inni nie wiedzieli, co do siebie mruczę.

Mimo powagi sytuacji Jennifer roześmiała się.

- Świetnie to rozumiem.

Wyciągnęła się obok niego, opierając się o pień i uważając, by żaden ruch nie wzbudził podejrzeń u żołnierzy.

- Nie zostało nam nic innego jak czekać. Może zdarzy się sposobność do ucieczki.

Zerknęła na najbliższego stojącego strażnika, udając przestraszoną. Przyszło jej to z łatwością. Przysunęła się do Gage'a i szepnęła:

- Póki on tu jest, nie mogę cię rozwiązać. Gage znieruchomiał.

- Chyba nie pomyślałeś, że jestem do niczego nie przydatna?

Uśmiechnął się lekko.

- Wiesz co, *cherie*, zaczynam myśleć, że źle cię oceniłem. I to pod wieloma względami.

Zamknęła oczy, oparła policzek na mocnym ramieniu Gage'a, rozkoszując się jego bliskością. Oboje milczeli, czekali na rozwój wydarzeń.

Spod przymkniętych powiek patrzyła na poruszających się żołnierzy, zmieniający się kolor nieba.

W oddali rozległy się jakieś głosy, przybliżały się...

- Dowódca - szepnęła.

- Zdejmij mi teraz bandaż, nie poddamy się bez walki. Zamiast odpowiedzieć, zaczęła się głośno modlić.

- Boże, zmiłuj się nad nami. Ocal nas. Czas tak szybko się kurczy, jeszcze chwila...

Gage słuchał zaskoczony. Zaraz zarządzą egzekucję, a ona się modli!

- Jenny... - zaczął, ale gwałtowny huk gdzieś obok nich przerwał mu w pół słowa.

Serią odezwały się karabiny, ziemia drżała od wybuchów. Jakby naraz wybuchła wojna.

Jennifer pochwyciła go za ramię, tuż za nimi głucho jęknęła ziemia.

- Gage, udało się! Jesteśmy uratowani! Rebelianci przypuścili atak! Szturmują obóz!

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Jennifer złapała dwa plecaki i pociągnęła Gage'a, by wstał.

- Uciekajmy!

Błyskawicznie zarzuciła na siebie swój plecak, drugi pośpiesznie przełożyła przez ramię. Wolną ręką mocno ujęła Gage'a.

- Szybko! Żeby nie zobaczyli, że uciekamy - popędzała, ciągnąc go w stronę zarośli.

Gałęzie tłukły go po twarzy, stopy zapadały się w zdradliwy, miękki grunt. Kurczowo ścisnął rękę dziewczyny, zdając sobie sprawę, że teraz jedynie jej obecność daje mu szansę na przetrwanie. Z zasłoniętymi bandażem oczami czuł się całkowicie bezradny.

Nieoczekiwanie szarpnęła go w dół.

- Na ziemię! Musimy się schować pod gałęzie! Opadł na kolana, czołgał się za nią.

- Ostrożnie, *cherie*. Przez te bandaże zupełnie niczego nie widzę. Och!

Zachwiał się, stracił równowagę i upadł na brzuch. Z oddali ciągle dochodziły odgłosy wystrzałów.

- Ciągłe jesteśmy bardzo blisko obozu - odezwał się Gage z rezygnacją w głosie.

- A dasz radę iść dalej?

Miała rację, musiał jej to przyznać. Chyba nie da rady.

- Zaczynam dochodzić do wniosku, że właściwie cały czas nie robimy nic innego, tylko obserwujemy życie dżungli. I to z bardzo bliskiej odległości, leżąc unurzani w błocie. - Nie mógł się powstrzymać, by się nie roześmiać. - Wiesz co, *cherie*? Jeśli uda się nam stąd wydostać, zabiorę cię do miasta. Wybierzemy się do zoo, obejrzymy akwarium, a potem, kiedy już zgłodniejemy, pójdziemy coś zjeść do dobrej restauracji. I już nigdy w życiu nie będziesz się czołgać przez błotnisty busz.

W zielonym gąszczu było zbyt ciemno, by mogła dostrzec jego twarz, wyczytać z niej, co naprawdę myśli.

- Chyba najlepiej tu zostańmy - zastanowiła się głośno. - I tak niczego nie widać.

Nagle coś sobie przypomniała.

- Twoje ręce! - wykrzyknęła. - Połóż się na plecy, rozwiążę je.

Gage z trudem przekręcił się na plecy. Leżał nieruchomo, gdy Jennifer w milczeniu próbowała rozluźnić supły. Minęło trochę czasu, nim jej się to udało. Strzały umilkły. Żołnierze pewnie wkrótce zaczną ich szukać, ale w tych ciemnościach poszukiwania są z góry skazane na niepowodzenie. Przynajmniej do rana mają czas.

- Chciałbym cię przeprosić. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Za co? - zapytała, zdejmując ostatni sznur.

Gage jęknął, rozprostował uwolnione z więzów ręce. Dopiero po chwili zwrócił twarz w stronę dziewczyny. Gorączkowo próbowała zgadnąć, o co może mu chodzić.

- Nie miałaś nic wspólnego z tym przemytem.

Ze zdumienia otworzyła usta. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Co go w końcu przekonało?

- Skąd to przeświadczenie?



- Rozwazałem tę całą historię na wszelkie możliwe sposoby, ale nijak nie mogę uwierzyć, że rzeczywiście brałaś w tym udział. Nie pasujesz do tej roli. Nadal nie mam pojęcia, skąd wzięła się ta broń, ale coś mi mówi, że to nie ty...

No cóż, powinna być wdzięczna i za to.

- Nie mylisz się - potaknęła. - Nie mam z tym nic wspólnego.

Zaległa cisza. Miło, że przynajmniej przeprosił. Niewielu by się na to zdobyło. Ben z całą pewnością nie.

Robiło się coraz zimniej. Przysunęła się do niego, leżeli teraz całkiem blisko. Cisza uspokajała, łagodziła napięcie.

- Może dokończysz opowieść o węzach? - zapytał nieoczekiwanie, dziwnie miękko.

Zaskoczył ją tym i rozbroił. Chce usłyszeć historię, która do tej pory przejmuje ją lękiem, której nie odważyła się nikomu wyznać. Zresztą, nie miała nikogo bliskiego, komu bez obaw mogła ją opowiedzieć. A teraz zapragnęła nagle, by wreszcie wyrzucić to z siebie. Ciemność skłaniała do zwierzeń; było łatwiej, bo w mroku nie widziała jego twarzy.

- Mama prowadziła świetlicę dla dzieci, pomagałam jej - zaczęła cicho. Myśli poszybowały ku tamtym dniom sprzed lat. - Pamiętasz, mówiłam ci, że jedno z rodziców nauczyło mnie miejscowej odmiany francuskiego. Ktoś inny podszkolił mnie z matematyki. Usługa za usługę. Nie wszystkich było stać na opłacenie pobytu dziecka. Mama chętnie się na to godziła. Kochała te dzieciaki i uważała, że należy dać im szansę. Tak samo ich rodzicom. Dzięki mamie świetlica kwitła. Byłam dumna, że mogę jej pomagać, pochlebiało mi, że jestem jej współpracowniczką. Miałam wtedy chłopaka, na którym to robiło wrażenie. Moje imię było na szyldzie obok jej nazwiska...

Westchnęła ciężko i na moment zamilkła.

- I wtedy mama umarła.

Ożyły wspomnienia tamtych strasznych dni, przygotowań do pogrzebu.

- Czułam się bardzo samotna, zupełnie sama na świecie. Nie miałam nikogo. Tylko pastor pomógł mi przy pogrzebie. Panie z parafii troszczyły się o mnie, ale to nie było to samo co rodzina. Tata zostawił nas, gdy byłam niemowlęciem.

Gage otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie. Jego bliskość napełniała otuchą, dodawała sił. I paradoksalnie przypominała, jak dawno czegoś podobnego nie zaznała.

- Liczyłam na pomoc ze strony mojego chłopaka. Jego rodzina była bardzo wpływowa, wiedziałam, że Ben zna wiele osób, których decyzja mogła przesądzić o losie świetlicy. Byłam pewna, że jakoś mi pomoże, gdy rodzice po kolei zaczęli zabierać swoje dzieci ze świetlicy. Rezygnowali, sądząc, że dziewiętnastoletnia dziewczyna nie da rady poprowadzić całego ośrodka. No i zaczęły spływać rachunki... Mój chłopak upierał się, że powinnam zamknąć świetlicę. Zaklinał się, że dla tych dzieci znajdzie się miejsce gdzie indziej. Przekonywał, że jego rodzice łożą na kilka fundacji i że istnieje mnóstwo specjalnych programów opieki nad dziećmi. Wmawiał mi, że żadne z nich nie pozostanie bez pomocy. - Głos jej się łamał. - Chciałam mu wierzyć, więc to jest również moja wina. Przez cały ten czas nie zdawałam sobie sprawy z motywów, jakie nim kierują, jak egoistycznie jest nastawiony. Zależało mu, bym zamknęła świetlicę. Drażniła go moja niezależność. Dotarło to do mnie dopiero później. Teraz myślę, że on zawsze taki był, tylko nie chciałam tego widzieć. Zawsze chciał postawić na swoim. A ja byłam młoda i naiwna, godziłam się na to i...

Potrząsnęła głową i znów na chwilę zamilkła.

- Skończyło się tym, że zamknęłam świetlicę, choć nie potrafiłam zapomnieć o dzieciakach. Nie wszystkie trafiły w nowe miejsca, niektórych rodziców po prostu nie było na to stać. Borykałam się z problemami finansowymi, musiałam sprzedać dom, wyprowadzić się, spłacić długi, które zostały po mamie, a o których wcześniej nie miałam pojęcia. Nie byłam w stanie zająć się tymi dziećmi. Ale wiedziałam, że przez cały dzień siedzą same w

domu. Zadreczałam się tym. Niepokoiliam się zwłaszcza o jedną rodzinę: samotna matka wychowująca trójkę dzieci. Najstarsza dziewczynka miała dziewięć lat, młodsza cztery latka, a chłopiec piętnaście miesięcy.

Wzdrygnęła się, prześladowające ją wspomnienia ożyły na nowo. Daremnie próbowała odepchnąć od siebie te niechciane obrazy. Ciągle miała je przed oczami. Poczula zimne ciarki na plecach, głos jej zadrżał.

- Spokojnie, *cherie*, już dobrze - cicho powiedział Gage i próbując ją uspokoić, delikatnie pogładził po ramieniu, ale nie na wiele się to zdało.

- Tamtego ranka przewiozłam resztę rzeczy do małego mieszkanka, które dla siebie wynajęłam. Pomyślałam, że zrobię dzieciom niespodziankę, kupię im w mieście coś dobrego na śniadanie. Sherri, Martine i Bebe, jak pieszczotliwie nazywali Matta, jedli bardzo skromnie...

Zniżyła głos, każde słowo przychodziło jej z trudem.

- Weszłam do domu. Sherri nie było, potem dowiedziałam się, że wieczorem poszła do koleżanki i mama pozwoliła jej tam przenocować. O siódmej rano dziewczynka miała z powrotem być w domu, ale zasnęła. Dlatego gdy przyszłam o dziesiątej, nikt nie otwierał. Ich mama musiała o szóstej wyjść do pracy. Zostawiła śpiące dzieci, pewna, że za godzinę wróci Sherri.

- Nie bała się zostawiać ich pod opieką małej dziewczynki?

- To zdarza się bardzo często - odparła Jennifer. - Samotne matki nie mają innego wyjścia, ktoś przecież musi zarobić na dom. A nie stać ich na opłacenie opiekunki czy świetlicy. Usłyszałam płacz Bebe, więc weszłam do środka. Znalazłam go dopiero w pokoju Martine. Siedział przy łóżeczku siostry. Wyglądało, że mała śpi, ale od razu coś mnie tknęło.

Już wiedział, co zaraz usłyszy.

- Wąż?

- Tak. W nocy wślizgnął się do niej do łóżeczka. Miała na szyi cztery ślady po ukąszeniach. Prawdopodobnie nie żyła, kiedy matka wychodziła do pracy. Była całkiem zimna. I... spuchnięta - dodała szeptem. - Nie wiem, jak to

się stało, że Bebe wyszedł bez szwanku. Wezwałam pogotowie. Znaleźli węża w szafie. Właściwie to była żmija, miedzianka. Lekarz powiedział, że weszła do łóżka, szukając ciepła. Za każdym razem, kiedy dziecko się poruszało, kąsała je.

- Och, Jenny, *cherie* - wyszeptał i przygarnął ją do siebie. Ile ta dziewczyna przeszła! - To nie była twoja wina. - Tkliwym gestem pogładził ją po głowie.

- Moja. To moja wina. Gdybym się nie złamała, gdybym nie posłuchała Bena, może nadal miałabym te dzieci pod swoją opieką i...

- Nie, Jenny - zaprzeczył stanowczo. - Sama mówiłaś, że miałaś problemy finansowe. Żadna firma nie pociągnie, gdy straci klientów. Tak to już jest.

- Może. Ale wiem jedno: że już nigdy niczego nie zaniedbam. I zrobię wszystko, by żadne dziecko nie było wystawione na niebezpieczeństwo. I dlatego muszę iść do Lahary - dokończyła z przekonaniem.

Tak bardzo chciał ją pocieszyć, zdjąć ciężar z jej ramion, ale miał świadomość, jak niewiele może jej ofiarować.

- Jenny, zdajesz sobie sprawę, na co się narażasz, idąc do Lahary? Zwłaszcza po tym, jak powiedziałaś żołnierzom, że tam zmierzamy?

- Zabiorę stamtąd dzieci, Gage. Muszę. Tym bardziej teraz, gdy *federales* mogą wpaść na pomysł, by odwiedzić misję.

Przytulił ją, oparł czoło o jej głowę.

- To niemożliwe, *cherie*. Nie puszczę cię tam, nie pozwolę, by stała ci się krzywda.

Szarpnęła się.

- Dlaczego? Najpierw nie wierzysz w ani jedno moje słowo, odrzucasz wszelkie wyjaśnienia, a teraz nagle się o mnie martwisz?

Ma rację, wiedział o tym. Ale jak wytłumaczyć jej te zaskakujące i sprzeczne uczucia, jakie w nim budzi? Powiedzieć, że urzekła go swoim męstwem, wyjątkowo szlachetnym charakterem, że martwi się o nią? Nie chciał się w nic angażować, zamierzał utrzymać dzielący ich dystans, a mimo to ta

dziewczyna znalazła drogę do jego serca. To nie jest żadna miłość. Już dawno przestał wierzyć w takie rzeczy. Ale obchodzi go ta dziewczyna. I to bardzo.

Nie, nic jej nie powie. Nie będzie się narażał, że użyje tego przeciwko niemu.

- Nikt nie jest obojętny na los innych. Załóżmy, że nie masz nic wspólnego z tą bronią, niech tak będzie. Ale jednak prawda jest taka, że ktoś to zrobił, a ja muszę jak najszybciej powiadomić mojego współnika. Może zdążymy dopaść tego kogoś, nim zatrze za sobą ślady.

- No cóż - westchnęła. - Skoro tak ma być...

Nie powinna czuć się rozczarowana. Przecież nie ukrywał, że najważniejsza jest dla niego praca i jego firma. Nie powinna o tym zapominać. Znowu przez moment jej uczucia wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Jennifer? - Przytrzymał ją, nie pozwalając jej się odsunąć. - Nie bądź na mnie zła, *cherie*.

- Nie jestem - odrzekła z westchnieniem, bo rzeczywiście tak było. Nie była zła, była rozczarowana.

Pogładził ją po policzku, dotknął ustami jej warg. W pierwszym momencie była zaskoczona, ale po chwili poddała się pieścizocie, pochyliła ku niemu. I naraz Gage odsunął się od niej.

- Powinniśmy się zdrzemnąć. - Ton jego głosu świadczył, że był poruszony nie mniej niż ona.

Poprzednio zbył jej pytanie, choć bardzo zależało jej na odpowiedzi. Jeszcze raz ponowiła próbę.

- Dlaczego mnie pocałowałeś? Nie odpowiedział od razu.

- Bo jesteś zupełnie nieprawdopodobna - wyszeptał tak cicho, że ledwie rozróżniała słowa.

Wprawdzie nie było to wyznanie, ale obudziła się w niej nadzieja. Boże, modliła się w duchu, jeśli to jego dla mnie przeznaczyłeś, spraw, byśmy oboje nabrali więcej wiary.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- No i jak?

Gage przetarł oczy, zamrugał, oślepiiony bladym światłem wczesnego poranka. Duże zielono-brązowe plamy zlewały się w nieokreślone kształty, na ich tle majaczyła jasna sylwetka Jennifer.

- Zaczynam coś widzieć, choć jeszcze trochę niewyraźnie. Ale to nie ma znaczenia. Na pewno nie dam już sobie założyć bandaża.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się z tego cieszę - zaśmiała się. Wyciągnęła do niego rękę. - Weź to, znalazłam coś do zjedzenia. - Podała mu kilka owoców i orzechów.

- Dzięki. - Dopiero teraz poczuł, że umiera z głodu. Podniósł się z miejsca, zjadł kilka jagód. - Nie widać *federales*?

- Ani śladu. - Pokręciła głową. - Jeśli tędy przechodzili, to musieliśmy to przespać.

Gage skinął głową, rozejrzał się wokół.

- Przyszliśmy z tamtej strony. - Jennifer wyciągnęła rękę w stronę południa. - Niedaleko stąd jest wydeptana ścieżka, całkiem szeroka. Wygląda zupełnie jak zarośnięta droga.

- To możliwe. - Gage wziął dziewczynę za rękę i ruszył do przodu, torując sobie drogę przez gęste zarośla. - W dżungli kryje się wiele osad. Drogi służą nielicznym posiadaczom aut, przemytnikom, rebeliantom i policji. Chodź, zobaczmy dokąd prowadzi. Może gdzieś nią dojdziemy.

Nie wypuszczał jej dłoni. Na pewno mogła iść sama, ale przyjemnie było trzymać ją za rękę. Ma taką drobną, miłą w dotyku dłoń... Po raz pierwszy świadomie nie chciał słuchać głosu rozsądku.

Wczorajszy wieczór dużo zmienił. Na wiele rzeczy patrzył teraz zupełnie inaczej. Zrewidował swoje poglądy na temat Jennifer. Wprawdzie nadal w

stosunku do niej był nieufny, jak do każdej innej kobiety, ale nieoczekiwanie zapragnął poznać ją lepiej. To przecież do niczego nie zobowiązuje, nadal będzie ją trzymać na dystans. Naraz uświadomił sobie swój własny cynizm i zawstydził się. Może ona rzeczywiście ma rację, zarzucając mu przesadę? Może naprawdę zbyt wielką wagę przywiązuje do swojej osoby, zbyt jest ostrożny? Nie powiedziała tego wprost, ale sądząc po kilku jej wypowiedziach, tak właśnie go oceniała.

- Widzisz, to ta droga.

Popatrzył na wycięty w buszu trakt z widocznymi śladami opon.

- Masz rację. Muszą tędy jeździć.

Zatrzymał się, przygarnął Jennifer do siebie, uważnym spojrzeniem zlustrował przestrzeń i dopiero wtedy ruszył do przodu. Wydeptaną drogą szło się łatwiej, wreszcie nie przeszkadzały gałęzie i kolczaste krzewy. Naraz coś zaskrzeczało nad ich głowami.

- O, zobacz! Na tym drzewie siedzą małpy. Nie widzieliśmy jeszcze wszystkich zwierząt, jakie zamieszkują tutejszą dżunglę - zaśmiała się. - Misjonarze wspominali mi kiedyś, że można tu spotkać nawet jaguara.

- Nie martw się, on nam nie zagrozi.

- Skoro tak twierdzisz... Ale poza nim są tu jeszcze inne zwierzęta.

Ciekawe, czy zobaczymy tapira? On podobno też tu występuje.

Gage roześmiał się na ten pomysł.

- Miejmy nadzieję, że nie. I że te małpy nas nie zdradzą. - Pociągnął ją do przodu, zostawiając hałaśliwe małpy za nimi. - Szkoda, że nie mam maczety. Gdyby tak się trafił jakiś tapir, byłoby niezłe jedzenie.

- Nie najadłeś się jagodami, co? Gage mocniej ścisnął jej dłoń.

- Trzeba się rozglądać, może jeszcze coś znajdziemy do jedzenia.

Szli w milczeniu, trzymając się za ręce i rozkoszując spokojem i otaczającą przyrodą. Jak para na romantycznym spacerze. Nie przeszkadzało mu

nawet, że oboje byli podrapani i umorusani. W rozmarzeniu kontemlował piękno natury i urodę dziewczyny.

- Gage? - Jennifer wyrwała go z błędnego zamyślenia.

- Hmm? - Powoli wracał do rzeczywistości.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. Wzdrygnął się, słysząc jej słowa.

- O mojej rodzinie?

Jennifer ścisnęła mu dłoń, jakby chcąc dodać otuchy.

- Bardzo jestem ciekawa - wyjaśniła lekko. - Mówiłeś, że masz siostrę.

Gage westchnął ciężko. Kobiety. Zawsze takie ciekawe. Choć z drugiej strony sam sporo z niej wydusił, nie mówiąc już o zarzutach, jakie jej czynił. Więc Jennifer ma prawo pytać.

Twarz mu złagodniała na wspomnienie siostry.

- Becca jest ode mnie trochę młodsza - zaczął. - Straszna z niej trzpiotka. Zawsze taka była i, choć wyszła za mąż i ma trójkę dzieci, wcale się nie zmieniła. Niesamowita bałaganiara. Jest taka roztrzepana i nieobliczalna, że gdyby nie mąż, ich dom stale byłby w stanie kompletnego chaosu.

- Gage! Roześmiał się.

- To był odwieczny powód naszych kłótni. Jej bałaganiarstwo doprowadzało mnie do szału. Też dawałem się jej we znaki, droczyłem się, że jest mało kobieca. Gdyby nie jej mąż, to pewnie nigdy bym nie zobaczył jej w sukience.

- Niektóre kobiety nie przepadają za sukienkami. Przekornie popatrzył na jej bluzę.

- Tak? - Uśmiechnął się znacząco.

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem. - I daj już spokój swojej siostrze.

- Nie przejmuj się nią aż tak. Mąż do niczego jej nie zmusza, może chodzić ubrana jak chce. Pewnie by nawet nie mrugnął, gdyby któregoś dnia postanowiła chodzić w pizamie. Okręciła go sobie dookoła palca.

- Gage!



Znowu się roześmiał.

- Przecież tylko żartuję. Tak czy inaczej, Becca ma trzylatka i roczne bliźniaczki. Domyślam się, że pod każdym względem pójdą w ślady mamusi.

- A co na to twoja mama?

Gage spochmurniał, dobry humor opuścił go nagle.

- Mama zachorowała i umarła, gdy Becca była w trakcie przygotowań do ślubu.

- Tak mi przykro, Gage.

- Niepotrzebnie. Odeszła w przekonaniu, że jej dzieci wkrótce szczęśliwie się pożenią.

Za późno ugryzł się w język. Zerknął na Jennifer z ukosa, łudząc się, że może ostatecznie zdanie umknęło jej uwagi. Niestety, płonne nadzieje. Ta dziewczyna wszystko zauważy i wszystko usłyszy.

- Nie wyszło, co?

- Można to tak określić.

Czuł na sobie jej badawcze spojrzenie, choć nie patrzył na nią. Szedł do przodu ze wzrokiem utkwionym w nierówności terenu. Nie ma co liczyć, że da mu spokój i nie spróbuje wydobyć od niego jakichś konkretów. Kto wie, może to nawet i dobrze? Może lepiej, gdy wszystko zostanie powiedziane, może wtedy Jennifer prędzej zrozumie, dlaczego, choć ją lubi, nie chce niczego więcej.

- Masz do niej żal? Zaśmiał się gorzko.

- Można to tak ująć. Byłem w wojsku, wysłano mnie na rok do Korei. Angela chciała poczekać ze ślubem do mojego powrotu. Zgodziłem się na to. Becca już wtedy była zaręczona, ale mama prosiła, by wstrzymała się z ostateczną decyzją, aż skończy osiemnaście lat i będzie przekonana, że rzeczywiście chce wychodzić za mąż. Miała wtedy siedemnaście lat, a Robert, jej narzeczony, dwadzieścia trzy. Angela wymarzyła sobie, by oba śluby odbyły

się jednocześnie. Uważała, że to będzie bardzo romantyczne. Becca podzielała jej zdanie. W tym czasie mama się rozchorowała...

Jennifer objęła go w talii, na moment przytuliła łagodnie do siebie. Otoczył ją ramieniem. We dwójkę łatwiej stawić czoło przykrym wspomnieniom.

- I co się wydarzyło? Wróciłeś do domu, by zobaczyć mamę, i okazało się, że twoja narzeczona ma innego?

- Nie. Nie miałem pojęcia ani o chorobie mamy, ani o tym, że Angela z kimś się spotyka. Robert i Becca byli tak zaaferowani mamą, że o niczym nie wiedzieli. Angela po prostu przestała się pojawiać. Dopiero po śmierci mamy wyszło szydło z worka.

Z westchnieniem popatrzył w niebo, zamrugał, bo oczy zapiekły.

- Nikt mi nie powiedział, że mama jest umierająca. Dopiero gdy było za późno...

Jennifer zachwiała się lekko, może z wrażenia, a może dlatego, że podłoże było nierówne. Przytrzymał ją mocno, a ona objęła go serdecznie, jakby dodając otuchy.

- Przez cały czas, gdy byłem w Korei, mama i siostra mnie okłamywały - ciągnął z goryczą. - Nigdy nawet słowem nie wspomniały, że coś się dzieje, że mama jest chora. Prosiły tylko, bym ufał Bogu. Tknęło mnie dopiero, gdy Robert napisał. Pytał w liście, czy mógłbym pilnie przyjechać. W tym samym czasie mój najlepszy przyjaciel był postawiony w stan oskarżenia, a ja byłem świadkiem. Przeciwno mnie przedstawiono sfingowane dowody. Minęły dwa tygodnie, nim wreszcie mogłem się wyrwać. Okazało się, że przyjechałem za późno. Jennifer przytuliła go mocniej.

- Martwiłem się o przyjaciela. Nieopatrznie wplątał się w przemyt broni, zaczęto mu grozić. Chciałem mu pomóc, a nie miałem pojęcia, że już toczy się śledztwo w jego sprawie. W panice podrzucił do mojej szafki kompromitujące dokumenty. W końcu został zastrzelony. Wtedy do akcji wkroczył wywiad

wojskowy, zaczęły się aresztowania... Gdybym podejrzewał, że w domu jest coś nie tak, poprosiłbym o urlop okolicznościowy. W nic bym się nie wplątał, nie musiałbym się tłumaczyć przed sądem. I pamięć przyjaciela pozostałaby nietknięta. - Westchnął głęboko, zniżył głos. - I po raz ostatni widziałbym mamę - wyszeptał. - Mógłbym przeprosić, że wbrew jej woli zaciągnąłem się do wojska.

Powoli się opanował, wyswobodził z objęcia i ruszył przed siebie.

- Winieś o to Boga? - przerwała przeciągającą się ciszę. Wzruszył ramionami.

- Mama była osobą głęboko wierzącą. Twierdziła, że Bóg pochyła się nad każdą ludzką istotą, że bezustannie otacza nas swoją opieką. Tego nas nauczyła i w to wierzyłem. Ale w Korei straciłem tę wiarę.

Dochodzili do sedna jego problemu. Czuł się zdradzony i oszukany przez wszystkich, w dodatku obarczał się winą, że nie był przy umierającej mamie.

- Co się stało z Angelą? Gage wzruszył tylko ramionami.

- Kiedy przyjechałem na pogrzeb, dowiedziałem się, że za tydzień wychodzi za mojego starego kumpla.

- Nie napisała ci o tym? Pokręcił przecząco głową.

To nie mieściło się jej w głowie. Jak ktoś mógł w ten sposób postąpić? Nic dziwnego, że jest taki nieufny i zgorzkniały.

Z pewnością uważa, że nikt się nim nie przejmuje, ani teraz, ani w ogóle. Boże, stała mu się taka ogromna krzywda. Co ja mogę zrobić, co mam mu powiedzieć?

- Czasami - zaczęła, szukając słów - nie rozumiemy, dlaczego coś się wydarza, dlaczego sprawy układają się tak, a nie inaczej. Łatwo wtedy obwinić Boga. Najłatwiej. Ale może jest tak, że Bóg na to pozwala, bo ma w tym swój cel.

- Może pozwala, a może nie Go to nie obchodzi - parsknął. Jennifer mocniej ścisnęła jego rękę.

- Gdybyś nie pojechał do Korei czy gdybyś wrócił do domu, być może twój przyjaciel nie miałby żadnej szansy. Może byś się ożenił z Angelą i do tej pory już był po rozwodzie, albo też wydarzyłoby się jeszcze coś innego. Człowiek nie zdoła rozumem ogarnąć boskich wyroków.

Gage przyśpieszył kroku.

- Nie próbuję tego. Dla mnie sprawa jest prosta. Bóg ukazał nam drogę do zbawienia. I na tym Jego rola się kończy. Reszta zależy wyłącznie od nas.

Wydłużyła krok, próbując go dogonić.

- Bóg dał mężczyźnie kobietę, by byli razem - powiedziała z mocą. - Więc chyba nie można powiedzieć, że mamy zmierzać tą drogą w samotności.

Zwolnił, nie patrzył na nią. Miał zaciśnięte usta.

- Ja uważam, że mężczyzna jest zawsze samotny, że jest mu to przeznaczone, Jenny. Bo kobieta nigdy nie zrezygnuje z własnych przekonań i ambicji na rzecz małżeństwa, jej sprawy zawsze będą dla niej ważniejsze.

Gorączkowo zastanawiała się, co na to odpowiedzieć.

- Nie mówisz tego poważnie, Gage.

Zatrzymał się, popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem, skoncentrowany na własnych myślach.

- A w co innego mam wierzyć? I po co? By znów tego pożałować? Mam zaufać, by ponownie zostać oszukany?

Szczerze mu współczuła.

- Ja ciebie nie zawiodę, Gage. Popatrzył na nią przenikliwie.

- Nie próbowałaś uciec, gdy powiedziałem, że musimy iść do miasta?

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Przecież te dzieci na mnie czekają.

- Są pod opieką misjonarzy, nic złego im się nie stanie.

- Nie mogę ich tak zostawić - szepnęła, w tej samej chwili uświadamiając sobie, że właśnie dokonała wyboru, że wybrała nie jego, a dzieci.

Gage też to zrozumiał. Zaciśnął usta.

- Czyli sprawa się wyjaśniła. Każde z nas coś wybrało - skonstatował z ironią. Umilkł, ruszył przed siebie. - Wiem, co sobie myślisz, ale mylisz się. Nie jestem taki bezduszny. Na pewno bym dopilnował, by ktoś zawiózł cię na misję, gdy już się wszystko wyjaśni.

- Ktoś inny, nie ty. Wzruszył ramionami.

- Muszę się dowiedzieć, kto podrzucił tę broń.

Zrobisz, jak zechcesz, Gage, pomyślała w duchu Jennifer. Wiem, że się dręczysz, że nie opuszcza cię ten zadawniony lęk, przyczajony gdzieś w tobie, czekający na odpowiedni moment, by znów dać o sobie znać. Ale nieważne, jak długo będziesz uciekał, zasłaniał się innymi sprawami, wymyślał sobie problemy. Wszystko, byle tylko nie chodziło o ciebie, o twoje uczucia. Odgradzasz się od ludzi, trzymasz ich z daleka, ale mnie nie powstrzymasz. Muszę spróbować coś naprawić, przywrócić ci wiarę i nadzieję, choć zostało nam tak niewiele czasu, zarzekała się gorąco. Gdy ktoś został w życiu tylekroć skrzywdzony, dmucha na zimne i boi się na nowo podjąć ryzyko. W ten sposób się broni. Tak to już jest.

Nie może go tak zostawić. Musi otworzyć mu oczy, pokazać, że nie jest tak, jak myśli. A jeśli się jej powiedzie, jeśli przekona go do Boga i ludzi, z lżejszym sercem wróci do domu. I ta świadomość będzie łagodzić jej samotność, gdy wciąż na nowo będzie rozpamiętywać minione chwile i rozmyślać, jak dobrze byłoby dzielić z nim życie.

Jak to się stało, że dzieci zeszyły na drugi plan, że teraz jej najważniejszym celem jest Gage? Chociaż nie, to nie jest tak. Po prostu do trójki sierot łaknących miłości i wsparcia doszedł zagubiony mężczyzna.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Co to takiego?

Gage zatrzymał się tak gwałtownie, że Jennifer prawie na niego wpadła. Rozejrzała się wokół niespokojnie. Z wyczerpania ledwie trzymała się na nogach. Przemierzyli spory szmat drogi, a przez cały czas słońce grzało niemiłosiernie. Przesycone gorącą wilgocią powietrze dławilo w gardle, odbierało resztkę sił. Ciało omdlewało ze zmęczenia. Marzyła, by się czegoś napić. Znużonym gestem przeciągnęła dłonią po wilgotnym, pokrytym słonym potem czole.

- Ale co? - zapytała, patrząc na niego z niepokojem. Przytrzymał ją za ramię, nateżył słuch. Teraz i ona usłyszała.

- Jakies głosy - szepnęła.

- Właśnie - wymamrotał i nie puszczać jej ramienia, pociągnął ją w gęstwinię.

Przez chwilę żałowała, że nie mają maczety, ale Gage pewnie i tak by jej teraz nie użył. Gałęzie zagradzały drogę, biły po twarzy.

- To raczej nie są żołnierze - odezwała się cicho. - Wydaje mi się, że to dziecinne głosy. *Federales* nie zapuszczają się w dżunglę z rodzinami.

- Ale rebelianci mogą - podsumował Gage.

- Albo jesteśmy w pobliżu osady.

- Z naszym fartem? - Posłał jej znaczące spojrzenie.

Chyba ma rację, przyznała w duchu. Ale jeśli rzeczywiście znaleźli się blisko zamieszkaney osady... Przyklękła, na kolanach przeczołgała się przez busz, nie zważając na próbującego zatrzymać ją Gage'a. Ostrożnie wysunęła głowę spod gałęzi, upewniła się, że na drodze nie ma żywego ducha, i szybko przebiegła na drugą stronę. Sprawdzi, co jest dalej.

- Jenny! Wracaj tutaj! Zabiją nas! - Gage pośpiesznie dołączył do niej.

- Złapią nas, jeśli nie będziesz cicho - ostrzegła go i ruszyła przed siebie. -  
Wiesz, na kolanach idzie się całkiem nieźle. Przynajmniej nie wpada się na  
gałęzie.

Ostrożnie uniosła głowę i naraz krzyknęła.

Chłopiec, którego nogi znalazły się tuż przy jej twarzy, był równie  
przestraszony jak ona. Z okrzykiem wycelował w nią lufę karabinu.

- Hola! - Spróbowała się uśmiechnąć.

- *Quien ere tu?* - nerwowo zapytał chłopiec, mierząc to w nią, to w  
Gage'a.

- Co on mówi?

- Gage, nie ruszaj się. Jest zdenerwowany. Gage prychnął.

Zaalarmowani krzykiem chłopca zjawili się pozostali. Jennifer podniosła  
się powoli, trzymając przed sobą wyciągnięte ręce. Popatrzyła na kobiety i  
dzieci, część z nich z bronią, i uśmiechnęła się z ulgą.

Ani śladu żujących tytoń, półnagich i uzbrojonych mężczyzn. Choć może  
rebelianci wyglądają inaczej niż w jej wyobraźni.

- *Me llamo Jennifer Rose y el es Gage Dalton* - przedstawiła się chłopcu,  
wskazując również na Gage'a.

- *Que hacen aqui?* Jennifer opuściła ręce.

- Jesteśmy tu... - Urwała, przeszła na hiszpański. - *Nuestro avion...* -  
Poruszyła ramionami, naśladując lot samolotu. - *Se estrelló* - dokończyła,  
gwałtownie opuszczając dłoń w dół.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że to  
wyjaśnienie ich zadowoli. Odwróciła się do Gage'a.

- Pytali, kim jesteśmy i skąd się tu wzięliśmy. - Uśmiechnęła się do  
przybyłych. - *Esta La Mision Lahara cerca de aqui?*

Wymierzone w nich lufy opadły i kilka osób jednocześnie zaczęło coś  
szybko mówić. Z fragmentów zdań Gage domyślił się, że tłumaczyli, jak dojść  
do misji.

- *Si. Si. La Mision Lahara esta cerca pero los rebeldes y los federales...*

- Co ty im mówisz? - zaniepokoił się Gage.

Jennifer uciszyła go gestem, uważnie wsłuchiwała się w wypowiedziane po hiszpańsku słowa.

- *Oh?* - Skinęła głową. - *Si. Si.* - Znowu potaknęła i rozjaśniła się w uśmiechu. - *Gracias.*

- No więc? - zapytał, krzyżując ramiona.

- Nie bardzo mi dali dojść do słowa - odparła. - Petro, ten chłopiec, został wysłany z kobietami i dziećmi, by bronić ich przed żołnierzami i rebeliantami. Mają dziś duże święto, będą je uroczystie obchodzić. Wyszli do dżungli nazbierać owoców. To spora osada, liczy około ośmiuset mieszkańców. Ta droga właśnie do niej prowadzi. Dziś wieczorem odbędą się wielkie uroczystości.

Gage zwęził oczy, popatrzył na nią badawczo.

- A misja? O co chodziło? Jennifer uśmiechnęła się niewinnie.

- Wiedzą, gdzie się znajduje i chętnie nas tam zaprowadzą. Po dzisiejszym święcie.

Spochmurniał jeszcze bardziej.

- Nie idziemy do Lahary. To zbyt ryzykowne. Wzruszyła ramionami.

- Ponieważ to ja mówię po hiszpańsku, wygląda na to, że ja zdecyduję. - Uśmiechnęła się promiennie i dodała: - Chyba że szybko nauczysz się języka i do wieczora uda ci się ich przekonać.

- Nie zgadzam się.

- Za późno. - Uśmiechnęła się. - Chodź, przyłączmy się do obchodów. Inaczej nie wypada.

W milczeniu przysłuchiwał się jej ożywionej rozmowie z towarzyszącymi kobietami. Potwierdziła, że jest ze Stanów, nie z Teksasu, ale z Luizjany.

Kobiety wypytywały ją o Gage'a, chciały wiedzieć, czy to jej *esposo*. Cieszyła się, że Gage nie rozumie. Wyjaśniła, że nie jest jej mężem i opowiedziała o celu



podróży. Kobiety przyjęły to ciepło, wiele z nich na własnej skórze doświadczyło straty najbliższych.

Nim doszli do osady, Gage uspokoił się nieco, a Jennifer nawiązała przyjazne stosunki z mieszkańcami.

- Mówią, że możemy się umyć, i że dadzą nam coś do przebrania. Raczej nie powinniśmy odmawiać. Byłoby im przykro.

- Jasne. - Popatrzył na nią uważnie.

Osada okazała się większa, niż przypuszczali. Domy miały dachy kryte strzechą lub blachą. Bose dzieci bawiły się wesoło, dorośli krzatali się między domami, zaaferowani przygotowaniami do wieczornych uroczystości. Wzdłuż głównego placu ustawiono długie blaty pełniące rolę stołów.

Dziewczyna, której opiece powierzono przybyłych, poprowadziła ich do chaty.

- Zaraz dadzą nam ubrania - wyjaśniła Jennifer. - Widać misjonarze nie próżnowali.

- Zapytaj, czy mają radio albo telefon - poprosił Gage. Jennifer powtórzyła pytanie.

Dziewczyna skinęła głową, zaczęła coś mówić.

- Mają - odezwała się wreszcie Jennifer. - Na plebanii. Jak już się wykapiemy i przebierzemy, pójdziemy porozmawiać z pastorem...

- Mają jakiś pojazd? Zapłacę za benzynę.

Jennifer westchnęła, przeszła na hiszpański. Tym razem rozmowa trwała znacznie dłużej. Zatrzymali się przed budynkiem. W końcu zwróciła się do Gage'a.

- Tak.

- Co tak?

- W tym domu możesz się umyć - powiedziała z uśmiechem. - Ja będę obok. Owszem, mają pojazd. Pastor zawiezie nas na misję...

- Jenny.

- Słucham? - Uniosła brew.

Z trudem się opanował. Odwrócił się i wszedł do budynku.

- Twój mężczyzna jest zły.

Jennifer, zaskoczona, odwróciła się do Martiny.

- Znasz angielski? Martina uśmiechnęła się.

- *Si*. Pracowałam trochę na misji i misjonarze mnie nauczyli. Jestem zaręczona z Jose, naszym pastorem. On uważa, że powinniśmy znać nie tylko hiszpański, ale również angielski. Chociaż wiem, że mam mocny akcent.

Jennifer uśmiechnęła się serdecznie.

- Bardzo ci za wszystko dziękuję. Marzę o kąpieli. Martina poprowadziła ją do niewielkiej chatki.

- Mamy tu prysznice, ale wodę musimy przynosić. W każdym razie można się polewać.

- Wszystko mi pasuje, byle tylko się umyć.

- Rury są doprowadzone, ale słabo działają. Zaraz przyjdę, przyniosę ubranie - powiedziała, zbierając się do odejścia.

Jennifer ściągnęła bluzę i dzinsy, z rozkoszą poląła się wodą, namydliła włosy. Gdy skończyła, owinęła się ręcznikiem. Martina już na nią czekała. W rękach trzymała ubranie.

- Jaka śliczna! - zachwyciła się Jennifer na widok żółtej bluzki z ozdobnym haftem przy szyi. Opamiętała się jednak. - Nie, nie mogę jej przyjąć - odezwała się przepaszająco.

Martina zrobiła niedowierzającą minę, było jej przykro.

- To moja bluzka, mam ich więcej. Weź ją, to prezent. Włóż ją na dzisiejszy wieczór.

Nie mogła odmówić. Dziewczyna dawała jej to ze szczerego serca. Wycofała się pośpiesznie.

- Z przyjemnością. Ale wiesz co? Będzie lepiej, jak się wymienimy.

Już wcześniej spostrzegła spojrzenie, z jakim Martina patrzyła na jej ciuchy. Nawet jeśli ich nie włoży, może je dobrze sprzedać.

- Ja wezmę bluzkę, a ty moje džinsy i bluzę. - Oczy Martiny błysnęły radośnie. Uśmiechnęła się.

- Zgoda - przystała. Wzięła w rękę bluzę. - To znak futbolu?

- Skąd wiesz? - roześmiała się Jennifer.

- Amerykanie uwielbiają takie rzeczy. Zawsze to noszą. Nauczyłam się tego na misji - wyjaśniła z uśmiechem Martina.

- To prawda - potwierdziła Jennifer. - To symbol drużyny futbolowej z naszego college'u w Luizjanie.

Włożyła bluzkę i spódniczkę przyniesioną przez Martinę. Ubranie nosiło ślady długiego użytkowania, ale było przyjemnie miękkie, a kolorowe kwiaty wyszyte przy szyi pięknie kontrastowały z jej jasną karnacją. Jennifer odgarnęła w tył włosy i związała je tasiemką.

- Proszę, *señora* Jennifer, niech je pani zostawi rozpuszczone.

- *Señorita* - sprostowała, pozwalając dziewczynie zdjąć tasiemkę z jej włosów i uczesać je gładko. - Pomogę szykować jedzenie - zaproponowała.

- Zobaczymy - odrzekła Martina, wyprowadzając ją na dwór.

Już otwierała usta, by o coś zapytać, gdy spostrzegła Gage'a i głos uwiązał jej w gardle.

Miał na sobie wiązane w talii, nieco przykrótkie spodnie z niebieskiego płótna, do tego luźną białą koszulę. W tym stroju wyglądał znakomicie. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, patrząc na jego płócienne pantofle zamiast masywnych roboczych butów.

Martina zostawiła ich samych. Jennifer niemal nie zauważyła jej odejścia, tak była wpatrzona w Gage'a. On też nie spuszczał z niej wzroku. Rozkwitała pod jego zachwyconym spojrzeniem. Poruszyła się wreszcie.

- Martina świetnie szyje, co?

Gage ciągle milczał. Może więc źle odczytała to jego spojrzenie?

Podszedł bliżej, wyciągnął rękę i ujął w palce pasmo jej włosów.

- Masz takie piękne włosy. Poczula, że się rumieni.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Pochylił ku niej głowę. Domyślała się, co zamierza. Nie miała pojęcia, co mu się stało, ale ta nagła zmiana cieszyła. Przymknęła oczy, czekała.

Poczula muśnięcie jego ust i w tej samej chwili tuż obok nich rozległ się wybuch śmiechu. Odskoczyli od siebie raptownie.

Jennifer rozejrzała się wokół, zaskoczona i trochę rozczarowana. Kilkoro dzieci stało, zaśmiewając się wniebogłosy.

Szeroki uśmiech powoli rozjaśnił jej twarz. Oparła ręce na biodrach, pochyliła się ku dzieciom.

- *Que buscan, niños?* - zapytała, o co im chodzi.

Podbiegli do niej.

- *A ustedes señorita y señor.*

- *Oooh, bonito.* - Jedna z dziewczynek dotknęła jej włosów. Nawet się nie spostrzegli, gdy otoczyła ich gromadka dzieciaków. Każde chciało dotknąć włosów Jennifer.

- ... *un beso?*

Jennifer odwróciła się do zarumienionej, chichoczącej dziewczynki i sama spłonęła rumieńcem.

- Nie. - Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- O co chodzi? - zapytał Gage.

Unikała jego wzroku, co tylko spotęgowało ciekawość Gage'a.

- No powiedz, proszę - nalegał z uśmiechem, widząc jej zmieszanie.

- Ta mała pyta, czy mnie pocałujesz - odrzekła nieco zmieszana. -

Powiedziałam, że nie.

Dzieciaki przekrzykiwały się wzajemnie, a przyglądający się scenie dorośli uśmiechali się domyślnie.

Gage mrugnął do dziewczynki i uśmiechnął się do Jennifer.

- A dlaczego nie? Poczula, że policzki jej płoną.

- Gage, daj spokój.

Podszedł do niej bliżej, dzieci zapiszczały z uciechy. Kilku młodzieńców zachęcało go, a kobiety ich uciszały.

- Nie rób tego - powiedziała ostrzegawczo.

Za późno uświadomiła sobie, że nie powinna tego mówić. Przyjął to jak wyzwanie. Zagarnął ją w ramiona, obrócił ku sobie.

- Nie rób tego? - powtórzył, naśladowując jej głos i uśmiechając się szeroko. Potem pochylił się ku niej.

Pocałunek zaskoczył ich oboje. Gdy wreszcie Gage oderwał od niej usta, pragnęła tylko jednego: by to trwało nadal, by już zawsze być z nim.

Z jego oczu niczego nie mogła wyczytać. Wreszcie z wymuszonym uśmiechem odsunął się od niej i popatrzył na zafascynowane dzieciaki.

- Gage, ja...

Potrząsnął głową. Widziała, że jest poruszony.

- Przepraszam - wyszeptał. - Niepotrzebnie się z tobą droczyłem.

Ogarnęło ją zwątpienie. Przecież tak właśnie powinno być, pomyślała. Powinien się śmiać, żartować, cieszyć się życiem.

Oboje nie chcieli niczego na poważnie. Oboje się bali. Ona jego, on kolejnego zawodu. A wszystko wskazuje, że nie mają innego wyboru. Nagle uświadomiła sobie, jak łatwo może go pokochać. A może nawet już jest w nim zakochana.

Nie, nie, nie. Nie może się w nim zakochać. Co z tego, że Gage ma złote serce, że tak świetnie radzi sobie z tymi dziećmi? Co z tego, że ona mu się podoba, skoro nie potrafi, a może nie chce, przełamać swojej urazy i żalu do Boga. A żaden związek tego nie przetrwa.

On wcale tego nie chce, to jasne. To dlatego tak zapiera się przed dotarciem na misję. Bo wie, że tam stanie twarzą w twarz z Bogiem, że naocznie

przekona się, że jego teoria jest nic niewarta, że Bóg z miłością pochyla się nad każdą ludzką istotą. A ponieważ nie chce tego przyznać, ucieka. Jego firma na pewno nie jest w aż tak złej kondycji, by zaszkodziła jej zerwana umowa z Richardsonem.

Nie. Nie zakocha się w nim. Nie ma szans.

- Chodź, pomożemy w przygotowaniach - zaproponowała, w skrytości ducha marząc tylko o jednym: by znów, choć na mgnienie, ujrzeć go w tym radosnym nastroju, w jakim był przed chwilą.

## ***ROZDZIAŁ TRZYNASTY***

Jennifer podeszła do zebranych na placu ludzi. Przygotowania do święta zostały już zakończone: na rozłożystych stołach pyszniły się kukurydziane tortille, fasola i *platanos*, pokrojone w ukośne kawałki i usmażone w dużej ilości tłuszczu owoce podobne do bananów. Obok tego stosy świeżych owoców, woda i napoje dla spragnionych.

Większość świętujących nie korzystała z nielicznych widelców; jedli, nabierając sobie jedzenie na tortille.

- Dowiedziałas się czegoś na temat radia? - zapytał Gage, sięgając po talerz. - Jak najszybciej musimy zacząć działać, wiesz przecież.

Jennifer klepnęła go po ręce.

- Chyba nie chcesz ściągnąć na nas kłopotów? - Nałożyła sobie potrawy na talerz. - Martina jest narzeczoną pastora. Powiedziała, że powinien być z powrotem za niespełną godzinę. Wtedy spróbujesz zadzwonić. Ale pozwól mu nacieszyć się dzisiejszym świętem, nie nalegaj, by natychmiast wsiadał w samochód, by odwieźć nas na misję.

Gage mruknął coś do siebie.

- Jenny, misja nie jest najszcześniejszym miejscem. Boję się o nasze bezpieczeństwo. Naprawdę byłoby lepiej najpierw pojechać do miasta. Stamtąd skontaktujesz się z misjonarzami, uzgodnisz dalszy plan. Poza tym dowiemy się, jaka jest aktualnie sytuacja, co ewentualnie można zrobić.

Jennifer uśmiechnęła się tylko, podała mu talerz.

- Nałóż sobie tutejszych specjałów. Ale jeśli nie chcesz mieć problemów z żołądkiem, jedz tylko obrane owoce. I nie pij surowej wody.

- Wiem - odparł. Wzruszyła ramionami.

- To dobrze. W takim razie bierz się za jedzenie. I uśmiechnij się, żeby nie pomyśleli sobie, że ich święto cię nie bawi.

Westchnął, ale zaczął jeść z wyraźnym apetytem. Jennifer przyglądała mu się z uśmiechem.

Kończyła jedzenie, gdy rozległy się dźwięki orkiestry.

- Wiesz, jedna z kobiet powiedziała mi, że żołnierze często wpadają do osady, by przyłączyć się do uroczystości - odezwała się do Gage'a. - Rebelianci też tu mieszkują. Jeśli w pobliżu nie ma żołnierzy, przychodzą odwiedzić rodzinę.

Gage przestał jeść.

- Kiedy się o tym dowiedziałas? Jennifer uśmiechnęła się.

- W drodze do osady.

Zachmurzył się jeszcze bardziej, więc powiedziała szybko:

- Nie mówiłam ci, bo spodziewałam się, że tak właśnie zareagujesz.

Musimy robić dobrą minę, bawić się wraz z nimi, inaczej poczują się urażeni. Chyba byś tego nie chciał? Poza tym, czy warto ryzykować ucieczkę, skoro wkrótce sami nas odwiożą?

Milczał, jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

Zbliżyło się do nich kilka kobiet, które z ożywieniem zaczęły rozprawiać z Jennifer, podkreślając zadowolenie z obecności gości. Wykorzystując dziewczynę jako tłumacza, włączyły w rozmowę Gage'a. Podeszło też kilku

mężczyzn. Chcieli dowiedzieć się czegoś o Stanach. Byli przekonani, że tam wszyscy bez wyjątku są bardzo bogaci, a po pieniądze wystarczy się schylić. Chociaż może rzeczywiście coś w tym jest, zastanowiła się Jennifer, przypominając sobie dom Martiny, nie większy od sypialni w jej skromnym mieszkaniu. A jej rodzina jest bardzo liczna, aż trzynaście osób.

W oddali spostrzegła Martinę i towarzyszącego jej młodego przystojnego mężczyznę. Skinęli do niej. Jennifer dotknęła ramienia Gage'a.

- Już są - powiedziała, kiwając głową Martinie. Gage rozluźnił się.

- Świetnie. Chodź, może się czegoś dowiemy.

W zapadającym zmroku przeszli przez plac, podeszli do Martiny i jej przyszłego męża.

- *Hola! Como esta?* - Jennifer uśmiechnęła się i wskazała na Gage'a. - *Esto...*

- Witam, *señorita* Jennifer. Znam angielski.

- To wspaniale! - ucieszyła się dziewczyna. Gage wyciągnął dłoń na powitanie.

- Nazywam się Gage Dalton. Czy Martina powiedziała, co się nam przydarzyło?

- *Si, señor* Gage. Przeżyliście katastrofę samolotu, a teraz tropi was policja i rebelianci.

Pastor już się nie uśmiechał, miał poważną minę. Gage, równie poważny, zerknął na Jennifer.

- Właśnie. Na nasze nieszczęście ktoś wykorzystał mój samolot do przerzutu broni. Chcę jak najszybciej dostać się do Paulo i stamtąd skontaktować się z Samem, moim współnikiem. Z pewnością bardzo się o nas niepokoi, poza tym może coś wie.

Pastor przez chwilę milczał, jakby coś rozważał.

- Czy to człowiek godny zaufania? A jeśli to on załadował broń na pokład?



Domyślała się, co czuje Gage, słysząc to pytanie, ale nie dał po sobie niczego poznać. Powstrzymał się od komentarza, potrząsnął tylko głową.

- To niemożliwe. Nikt z firmy by tego nie zrobił. Za duże ryzyko.

Pastor pokiwał głową.

- Ta broń bardzo utrudnia nam działanie. Tylu mężczyzn i chłopców wdaje się w niepotrzebną walkę, choć raczej powinni paść na kolana i prosić Boga o łaskę. Rząd nie jest taki zły, jak się uważa. Największym problemem jest korupcja wśród *federales*. Stąd bierze się całe zło. - Uśmiechnął się ze znużeniem. - Ale to teraz nie ma nic do rzeczy. Podobno chciał pan mnie o coś zapytać?

Gage skinął głową, zaciął usta.

- Ma pan może krótkofalówkę, z której moglibyśmy skorzystać?

Pastor Jose w milczeniu rozważał pytanie.

- Niestety. Ta, którą mamy, jest popsuta. Gage westchnął, z rezygnacją opuścił ramiona.

- Jest w naprawie, właśnie ją oddałem - wyjaśnił pastor, widząc minę Gage'a. - Mamy bardzo ograniczone środki. Ktoś w Lahara próbuje ją naprawić.

- Naraz rozjaśnił się, oczy mu błysnęły. - Kierowca, który nas tu przywiózł, wraca na misję. Jeśli chcecie, możecie się z nim zabrać.

Gage w milczeniu rozważał tę możliwość. Misja była mu niepotrzebna, zależało mu na dostaniu się do miasta. Wyjaśnił pastorowi, jakie ma wątpliwości.

Jose zamyślił się, wreszcie wzruszył ramionami.

- Niestety, nie ma innego wyjścia, i musicie się z tym pogodzić. -

Poklepał Gage'a po ramieniu, zamykając tym gestem rozmowę. - Pora cieszyć się dzisiejszym świętem. Chciałbym was namówić, byście jeszcze z nami zostali.

- Jeśli kierowca zaraz jedzie, to czas na nas - odparł Gage, potrząsając głową.

- No tak. - Pastor uściśnął mu dłoń i zwrócił się do Jennifer: - Dziękuję za wymianę rzeczy z Martiną. - Uśmiechnął się po raz pierwszy. - Mam nadzieję, że nie zapomnicie o nas...

- Na pewno nie - przyrzekła Jennifer, obiecując sobie w duchu, że zaraz po powrocie pogada ze swoim pastorem o tym młodym duchownym i jego trzódce.

Serdecznie uściśnęła Martinę.

- *Vaya con Dios* - szepnęła dziewczyna.

- *Y tu* - odpowiedziała Jennifer.

Szybko ruszyli w kierunku kościoła, gdzie parkował džip. Kierowca, mężczyzna pod sześćdziesiątkę, krzątał się przy aucie, a kilka osób wносиło do kościoła leżące na progu kartony i różnorodne pakunki.

- Nowa dostawa. - Jennifer zerknęła na Gage'a, uświadamiając sobie, że oboje przyglądają się temu samemu. - Ale boję się, że przy zachodzących *ta federales* i *rebeldes*, nie na długo im tego wystarczy.

Gage zaciął usta, skinął głową.

- Raczej nie. A widziałem, że brakuje tu wielu niezbędnych rzeczy.

- Wojna - podsumowała Jennifer.

- Rozdzielili ich, nim się zakończy - stwierdził z goryczą. Przypomniała sobie, że już wcześniej był świadkiem podobnych dramatów. Nic dziwnego, że nie ma złudzeń.

- Może nie wszystkich - powiedziała miękko. - Jose wierzy w modlitwę. Myślę, że inni również, w każdym razie wielu z nich. Może dzięki nim sprawy nie pójną w złym kierunku.

Nie odpowiedział, potrząsnął jedynie głową. Podeszedł do kierowcy. Wystarczyła chwila rozmowy, by się przekonać, że nie zna ani słowa po angielsku.

Jennifer uśmiechnęła się obłudnie.

- No i co? Będziesz go namawiać, by jechał do Paulo czy może zmieniłeś zdanie?

- Bez względu na twoje racje, nie jedziemy do Lahary - oświadczył z ponurą miną. - Jennifer, jeszcze raz ci powtarzam, że to niebezpieczne.

- Bardziej niż pozostanie tutaj?

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale chyba się rozmyślił.

- Mogłabyś mu powiedzieć, że chcę jechać do Paulo? Pokryję wszelkie koszty.

Jennifer przez chwilę w milczeniu rozważała jego prośbę, w końcu wzruszyła ramionami i wartką hiszpańszczyzną przekazała kierowcy prośbę Gage'a.

- No i? - zapytał, kiedy wreszcie skończyła rozmowę z kierowcą i odwróciła się do niego.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Jedziemy do Lahary. Mówi, że do Paulo może cię zawieźć jutro, jeśli nie zmienisz zdania. Dziś to absolutnie nie wchodzi w grę, bo na drodze są żołnierze. Jedyne bezpieczne tory to te do Lahary.

Gage popatrzył na nią zwięzionymi oczami, po chwili westchnął.

- Trudno. Wszystko jest lepsze niż marsz na własnych nogach. Jedziemy.

Wskoczył do auta, kiwnął na Jennifer. Usiadła obok niego, jeszcze raz dziękując kierowcy za przysługę.

- Gage, nie złość się tak - powiedziała łagodnym tonem.

Nic nie odpowiedział, bo w tej samej chwili silnik prychnął, wreszcie zaryczał gromko. Oboje pomachali na pożegnanie otaczającym samochód dzieciom i dorosłym. Dżip ruszył przed siebie, zostawiając tumany kurzu.

- Nie lubię misji - nieoczekiwanie wyznał Gage.

Zdziwiło ją, że to powiedział. Dla niej to już od dawna nie było tajemnicą.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

Gwałtowny podskok podrzucił ją w górę i w bok. Zabolalo, ale nawet nie jęknęła. Przytrzymała się uchwytu, w milczeniu czekając na odpowiedź.

- Oni tam za bardzo wierzą.

Za bardzo wierzą? Jak to rozumieć?

Przyjrzała mu się uważnie. Zaciśnięte aż do białości palce, którymi przytrzymał się drzwi, nerwowy tik na twarzy. Musi tu chodzić o coś więcej, uświadomiła sobie nagle.

- Gage, co się zdarzyło na misji?

Dziwne podejrzenie stawało się coraz bardziej prawdopodobne. Czekala.

Mocniej zacisnął usta. Potrząsnął głową.

Tym razem nie da się zbyć, musi coś z niego wydusić. Intuicja podpowiadała jej, że chyba tu kryje się klucz do jego problemu. Stopniowo, krok po kroku, wszystko zaczyna układać się w logiczną całość.

- Gage, proszę. - Dotknęła jego dłoni. Nie musiała powtarzać.

- Poszedłem raz na misję, w Korei. Gdy dowiedziałem się, że mama jest chora. Powiedzieli, że nie mogą mi pomóc. Modliłem się za nią, ale moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Nie mogłem nic dla niej zrobić, nawet być przy niej. To była kara za grzechy. Przez nie moje prośby nie mogły dotrzeć do Boga.

Serce się jej ścisnęło, wyciągnęła rękę.

- Gage - szepnęła, przepelniona żalem i współczuciem. Nic dziwnego, że czuł się odrzucony i zawiedziony przez Boga.

Gwałtowny podskok podrzucił ich do góry. Za nim drugi i kolejny. Jennifer poszybowała w bok, potem do przodu. Krzyknęła z bólu. Już sięgała podłogi, gdy mocne ramiona złapały ją, nie pozwalając upaść. Z wdzięcznością wsparła się na nim, masując stłuczony bok, podczas gdy Gage gładził jej bolący bark.

Minęło dobrych kilka minut, a on nadal trzymał ją w objęciach. Poczula się tak bezpiecznie, że położyła głowę na jego piersi.

- Wiesz co, Gage? Zobaczysz, jeszcze przyjdzie taki dzień, w którym znowu komuś zaufasz. Uwierzysz, że nie każdy prędzej czy później cię zawiedzie.

- Jenny, daj spokój.

- Nie mogę, Gage. Kiedyś musisz komuś zaufać. Nie chcesz się wiązać, bo boisz się rozczarowań. Wiem, jak to jest. Ale odrzucanie Boga nie jest rozwiązaniem. Ani odrzucanie mnie.

Powoli podniosła głowę, popatrzyła na niego żarliwie, z miłością.

- Prędzej czy później, jednak mi zaufasz. Gage wzruszył ramionami, patrzył w dal.

- Nie będziesz tu długo. Prędzej czy później też odejdziesz. Dotknęła dłonią jego policzka.

- Chciałabym ci pomóc, dać nadzieję. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Żebyś uwierzył, że komuś na tobie zależy, że się o ciebie martwi. Oddałabym nawet życie. Ale tylko Bóg może cię przekonać, że warto znów w kogoś uwierzyć, znów komuś zaufać.

Przygarnął ją ku sobie.

- Nie mogę się do niego zwrócić - wyznał, zniżając głos do szeptu. - Jeśli znowu mnie zawiedzie, utracę tę odrobinę wiary, jaka się jeszcze we mnie tli.

Objęła go mocno, próbując dodać otuchy.

Panie, proszę, wskaż mi drogę, modliła się w duchu. Jak mam go przekonać, że jest coś wart, że otaczasz go swoją opieką, że Ci na nim zależy. Ze mnie na nim zależy. I co mam teraz począć? Proszę, poprowadź mnie, tak bardzo mi tego potrzeba.

Silnik zachłysnął się nagle, potem jeszcze raz, i gwałtowne szarpnięcie rzuciło ich do przodu. Wreszcie całkiem zgasł.

Gage rozluźnił uścisk, Jennifer wyprostowała się.

- Co to było? Co się stało?

- Nie domyślasz się? - Skrzywił się ponuro. - Takie już mamy szczęście. - Popatrzył na nią, przebijając wzrokiem ciemność. - Silnik się popsuł. I to chyba definitywnie. Znowu jesteśmy uwięzieni w środku dżungli, z dala od ludzkich siedzib.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

- A spodziewałaś się, że gdzie spędzimy noc? Tu nie mają Hiltona.

Gage ze złością mruknął coś pod nosem. Ta dziewczyna gra mu na nerwach. Przez cały czas przekręca każde jego słowo. Od świtu minęły dopiero dwie godziny, a już ma tego serdecznie dość.

- Nie powiedziałem, że miałem nadzieję na Hiltona, *cherie*, tylko że byłoby przyjemniej przespać się w wygodniejszym miejscu niż na tylnym siedzeniu dżipa.

- Wolę to, niż spać w dżungli na gołej ziemi - parsknęła Jennifer. - Jak myślisz, daleko stąd do miasta? - zapytała po chwili, z wysiłkiem przedzierając się przez zagradzające drogę gałęzie i przez cały czas mamrocząc coś do siebie pod nosem.

Wczesnym świtem pożegnali się z kierowcą. On ruszył w stronę osady, Gage zdecydował iść naprzód. Chciał jak najszybciej dostać się do miasta. Z osady mogliby prędko nie wyjechać. Kto wie, ile czasu przyszloby im czekać na sprawny samochód? Dzień, może dwa? Albo jeszcze dłużej.

- Pytałaś o to nie dalej jak pięć minut temu, *cherie*.

- Nienawidzę tej dżungli - wymamrotała. - Nigdy więcej moja noga tu nie postanie. Zaklinam się, że kiedy wrócę do domu, będę się kapać pięć razy na dzień.

Popatrzył na nią, uśmiechnął się.

- Parę minut temu twierdziłaś, że dziesięć razy.

Nie zwalniając kroku, posłała mu zrozpaczone spojrzenie. Była u kresu sił, niemal gotowa się poddać. Gage potrząsnął głową.

- Zdecyduj się na coś, *cherie*. Za bardzo się rozpraszasz. Chcesz odebrać dzieci, twierdzisz, że lubisz gorący klimat, zaraz potem pragniesz jak najszybciej się stąd wyrwać i znaleźć się w domu. Próbujesz złapać kilka srok za ogon. Trudno za tobą nadążyć.

- Tak jakby ci na tym zależało.

Roześmiał się mimo woli. Ależ ta dziewczyna potrafi go rozbawić!

- Coś ci powiem. Będę szczęśliwy, kiedy wreszcie dotrzemy do miasta i przekażę cię pod opiekę komuś innemu. Moja misja na tym się zakończy i już więcej nie będę musiał martwić się o ciebie.

Szedł, zapatrzony w ciągnącą się przed nim ścieżkę, zatopiony w myślach. Dlaczego perspektywa, jaką roztoczył przed Jennifer, wywołała w nim takie dziwne uczucie pustki? Jasne, że jej tego nie powie. Przyśpieszył kroku.

- Jakiś inny pilot przyleci po ciebie. Wtedy zrobisz, co zechcesz: możesz wyruszyć po dzieci, penetrować leśne osady, a nawet sklasyfikować nowe odmiany ptaków.

Jennifer nadal milczała. Gage wzruszył ramionami i nie zatrzymując się, szedł dalej wijącą się ścieżką zarośniętą dzikimi bluszczami. Nie podobało mu się, że dziewczyna nie odpowiada, ale nie chciał teraz na nią patrzeć. Ma takie smutne spojrzenie. Może trochę przesadza, bo przecież ona nigdy tak nie wygląda; pewnie wyobraża ją sobie w taki sposób, bo dręczą go wyrzuty sumienia.

- Dość już tej wyprawy. Muszę wracać do domu, dociec, do kogo należała broń. Mam aż nadto własnych zmartwień...

Gdy nadal nie odpowiadała, zapytał wprost, by usłyszeć jej głos:

- A jakie jest twoje zdanie?

Oczekiwał ostrej odpowiedzi. Ponieważ nie nastąpiła, uznał, że zacięła się w uporze.

Dzisiejszej nocy niepotrzebnie tak się przed nią otworzył.

Teraz tego żałował. Za dużo o nim wie. Ta świadomość nie dawała mu spokoju, choć przecież Jenny zaczęła go obchodzić... bardzo.

Zaintrygowało go jej milczenie.

- Jenny? Zapomniałaś języka? - zapytał.

Znowu nie odpowiedziała. Gage odwrócił się. Jennifer nie było.

Zamarł z przerażenia. Jak żywe stanęły mu przed oczami zagrożenia, jakie niesie dżungla. Z sercem bijącym jak szalone, rzucił się z powrotem. Zatrzymał się tuż za zakrętem. Jenny stała na środku ścieżki, nieruchoma, z twarzą bladą jak papier. Ramiona dziewczyny oplatał wijący się powoli wąż.

Widział kropelki potu błyszczące na jej skórze, wbity w niego zmartwiały wzrok Jennifer. Zdawało mu się, że dziewczyna nie oddycha. Wąż powoli pełznął ku jej szyi.

- Jenny! - Puścił się pędem w jej stronę, gdy naraz, sam nie wiedział jakim cudem, usłyszał znajome szczęknięcie odciąganego kurka. Znieruchomiał, odwrócił głowę.

- Bardzo rozsądnie, *amigo*. - Ciemnoskóry tubylec skrzywił się ironicznie.

- Jeden twój ruch, a dziewczyna nie żyje. Zresztą może i bez tego zaraz padnie.

Gage usłyszał cichy okrzyk, odwrócił się do Jennifer. Wąż owijał ją dookoła. Dziewczyna oddychała płytko, pośpiesznie. Po jej oczach widział, że jeszcze chwila, a straci przytomność.

- Czego chcecie? - Nie odrywał oczu od Jennifer, próbując wymusić na niej spokój, choć z przerażenia serce podchodziło mu do gardła.

Jest ich czterech. Dwaj z lewej, jeden z prawej, czwarty z tyłu. Żadnych szans na ucieczkę. Czego od nich chcą? Nic nie przychodziło mu do głowy.

- Macie coś, co jest naszą własnością. Chcemy to dostać. Rebelianci. Tak, to jedyne wyjaśnienie. Z pewnością to nie *federales*. A więc coś zaczyna się klarować.

- Coś, co było w samolocie.



Naraz olśniło go. Niech biorą, co chcą, odda im wszystko, bez słowa. Byle tylko Jennifer nie stała się krzywdą. Już wiedział dlaczego, choć to odkrycie spadło na niego jak grom z jasnego nieba.

Kocha ją.

Mimo że tak się przed tym bronił, tak tego nie chciał, to jednak zakochał się w tej dzielnej dziewczynie.

- Już przeszukaliśmy samolot. Tam tego nie ma.

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że mężczyźni świetnie mówią po angielsku. Korciło go, by coś z nich wyciągnąć, ale bał się odwrócić wzrok od Jenny. Ona jest najważniejsza. Musi sprawić, by zachowała spokój i przy tym samemu nie dać się zabić. A jednocześnie jak najszybciej zacząć z nimi rozmawiać, spróbować coś wynegocjować, nie dopuścić, by stracili cierpliwość. Czy uwierzą, gdy powie im prawdę?

- Skoro tam tego nie ma, to nie wiem, gdzie jest.

- Więc ta kobieta umrze.

Jenny jęknęła cicho. Czy przeraziło ją chłodne stwierdzenie mężczyzny, czy wąż, który owijał się wokół jej talii? Może jedno i drugie.

- Przecież nawet nie wiem, o co wam chodzi! - z desperacją wykrzyknął Gage, doskonale wiedząc, ile tym ryzykuje. Mogą go zabić albo na jego oczach zastrzelić Jenny.

Nie odrywał od niej wzroku, dodając jej odwagi i siły, by przetrwała; by wiedziała, ile dla niego znaczy. Przez ten czas gorączkowo szukał właściwych słów, rozpaczliwie wymyślał sposób, który pozwoli im ująć z życiem.

W jego głosie było tyle napięcia, że rebelianci nie zareagowali od razu, zastanowili się chwilę.

- Czyli kobieta powiedziała prawdę. Twierdzi, że o niczym nie wiedziałeś. Że tylko ona brała w tym udział.

Gage zamrugał oczami, nic nie rozumiał. Powoli oderwał wzrok od błagalnego spojrzenia Jennifer, przeniósł go na niskiego mężczyznę stojącego po lewej.

- Co takiego?

- Powiedziała, że to ona. Chciała wszystkich przechytryć.

Przeszmuglowała broń, ale resztę zatrzymała dla siebie. Nie uwierzyliśmy jej.

Ogarnęło go dziwne poczucie nierzeczywistości. Przetrawiał usłyszane słowa, ale ich sens docierał do niego bardzo powoli. Chciała wszystkich przechytryć, dudniło mu w uszach.

Spostrzegł, że mężczyzna wzrusza ramionami.

- Widzę, że się myliliśmy - podsumował z ironicznym uśmiechem.

Patrzył, jak podnosi karabin i celuje. Huk wystrzału poruszył powietrze.

Gage krzyknął głośno, z przerażeniem, oczami wyobraźni widząc, jak Jennifer osuwa się na ziemię.

Ale to nie ona, tylko martwy wąż upadł na ścieżkę.

Stał nieruchomo, zastanawiając się, czy rzeczywiście chcieli, by wąż ją zabił. A może w ten sposób pragnęli się jedynie zemścić za to, że ich oszukała?

Jennifer nawet nie drgnęła, nie wydała najłżejszego dźwięku. Wpatrywała się w niego z przerażeniem.

Wiedział przecież... Od początku przeczuwał, że kiedyś go zawiedzie.

- Posłużyłaś się mną - wyszeptał, nie będąc w stanie dodać niczego więcej.

Ona chyba też nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zaśmiała się cicho, histerycznie, naraz jej oczy stały się szkliste i osunęła się na ziemię.

Mógł jeszcze podbiec, by ją złapać.

Chciał, by upadła.

I jednocześnie nie chciał.

Nie zdążył się zdecydować, bo jeden z mężczyzn popchnął go karabinem.

- Podnieś ją. Pogadamy, jak dojdzie do siebie. A jeśli nie powie, gdzie są nasze pieniądze, oboje pożegnacie się z życiem.

## ***ROZDZIAŁ PIĘTNASTY***

Zmarszczyła nos, bo zewsząd dochodził wilgotny zapach stęchlizny. Wstrząsane gwałtownymi szarpnięciami ciało boleśnie objało się lewym bokiem o zimny metal.

Dopiero po chwili dotarło do jej świadomości, że znajduje się w terenowym aucie, poruszającym się po nierównej powierzchni. To stąd te nieprzyjemne podskoki.

Zamrugwała gwałtownie, bo podbita w górę, uderzyła głową o coś twardego. Z trudem podniosła powieki. Oczy nie od razu przyzwyczyły się do ciemności. W półmroku dostrzegła znajomą postać, patrzącą na nią bez wyrazu. Chyba był związany, bo obie ręce miał ściągnięte do tyłu.

- Gage.

Poczuła, że może poruszać rękami. A więc pozostawili ją wolno. Podczołgała się ku niemu, spróbowała usiąść. Obolałe ciało paliło ogniem.

- Dawno tu jesteśmy?

- Od kilku godzin.

- A dokąd nas wiozą?

- Do jakiegoś miasta... na przesłuchanie. Ale w tej sprawie ty jesteś lepiej zorientowana.

Miał zmieniony głos. To ją zastanowiło. Naraz przypomniała sobie... Wzdrygnęła się na wspomnienie węża, serce jej się ścisnęło, gdy znów zobaczyła przed sobą niedowierzającą twarz Gage'a.

Tak bardzo, tak boleśnie go zawiodła. Chciało się jej płakać.

- Gage, przepraszam.

Milczał. Nie wiedziała, czy usłyszał jej słowa. Chciała przytulić go do siebie, ukoić ból, który mu sprawiła. Ale jeśli ją odepchnie? Tak bardzo bał się kolejnego rozczarowania, zdrady ze strony kogoś, komu zaufa. Ale przecież zrobiła to w dobrej wierze. Chciała go ochronić, łudziła się, że jeśli skłamię, zostawią go w spokoju...

- Za co? - W jego głosie brzmiała z trudem skrywana złość.

- Okłamałam ich, Gage. Nie miałam z tym nic wspólnego. Przykro mi, że tak wyszło.

Zaśmiał się ostro, nieprzyjemnie.

- Próbuje dalej, *cherie*. Wiem, jak panicznie boisz się węży. Nie skłamałabyś, mając na sobie węza. Nie mogłabyś tego zrobić.

- Mogłam, bo cię kocham! - wykrzyknęła.

- Daj spokój, oboje wiemy, jak naprawdę jest - uciął szorstko.

Wstrzymała oddech, zraniona do głębi.

- Gage, przepraszam. Wiem, że nie powinno się kłamać. Może źle zrobiłam. Na pewno źle. Zabrakło mi wiary, że Bóg pokieruje naszym losem, że nas uchroni.

- Tobie zabrakło wiary? - Roześmiał się gorzko.

- Tym razem tak.

W odpowiedzi Gage wzruszył ramionami, ten gest ją zdenerwował.

- Zobaczysz, przyjdzie dzień, kiedy przekonasz się, że innym na tobie zależy. Zrozumiesz, że Bóg stale nad tobą czuwa i będziesz błagać, by wybaczył ci twoją niewiarę, twój strach przed otwarciem się na innych. I może stanie się tak, że nawet i mnie przebaczysz, że sprawiłam ci ból.

- Bardzo w to wątpię, *cherie*. Naprawdę szczerze wątpię, bym zdołał wybaczyć to, co już zrobiłaś.

Poczuła się zdruzgotana.

- Jak mam cię przekonać, że nie miałam pojęcia o tej broni?

- Może lepiej opowiedz, jak wpadłaś w ich ręce.

Nie była pewna, czy rzeczywiście chciał to wiedzieć. Ale skoro pyta, powie mu.

- But mi się rozwiązał. Dlatego się zatrzymałam. Ty w kółko powtarzałeś, że musimy iść do miasta, więc nie byłam w najlepszym nastroju.

Przysunęła się nieznacznie, by na wybojach wspierać się o niego. Starła się nie zwracać uwagi na siedzących z przodu, zajętych ożywioną rozmową dwóch mężczyzn.

- Nie spieszyłam się. Pomyślałam, że dobrze ci zrobi, jak sobie pogadasz. Przyśpieszyłam dopiero, gdy całkiem straciłam cię z oczu, bałam się zostać sama. Wąż wypełznął na ścieżkę, jak już przeszedłeś to miejsce. Odskoczyłam, jak tylko go spostrzegłam, ledwie się powstrzymałam od krzyku...

- Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że ci się to udało... Pamiętam, jak wtedy krzyczałaś - cierpkim tonem wtrącił Gage.

- Ja też pamiętam i dlatego bałam się, że znowu ktoś mnie usłyszy. Ale już było za późno. Ci ludzie wpadli na nasz trop, otoczyli nas. Rzuciłam się do tyłu, ze strachu. Musieli widzieć, że jestem śmiertelnie przerażona, bo kiedy wpadłam na jednego z nich, od razu wiedział, że uciekam przed wężem... I wtedy szybko złapał go i zarzucił na mnie.

- Dlaczego stanęłaś, a nie uciekałaś dalej? Jennifer złożyła ręce.

- Trudno uciekać, gdy masz przytknięty pistolet do głowy i każą ci oddać pieniądze, bo jak nie, to strzelą. Nie miałam specjalnego wyboru. Albo wąż, albo kula w łeb.

- Więc dlaczego nie oddałaś im pieniędzy? A może zostawiłaś je w Stanach?

Westchnęła z goryczą, uświadamiając sobie, że nadal jej nie wierzy.

- Gage, nie miałam pojęcia, o jakich pieniądzach mówią.

I nie zapominaj, że pełzał po mnie wąż! Nie próbowałam nawet drgnąć!

- Bałaś się, że twoi kumple cię zastrzelą? Jennifer z rezygnacją pokręciła głową.

- Nie. Bałam się, że ciebie znajdą i zabiją. Myślałam... myślałam, że jeśli powiem, że to ja wzięłam pieniądze, a ty o niczym nie miałeś pojęcia, to może zostawią cię w spokoju...

- Przestań! - uciał szorstko.

Aż podskoczyła, słysząc jego ton.

- Nie wierzysz mi?

- Przestań kłamać. Już mi wystarczy.

- Ale ja...

- Nic nie mów. Teraz ja ci coś powiem. Zacząłem ci ufać. Szczerze wierzyłem, że tę broń przeschmuglował ktoś inny, że ty nie maczałaś w tym palców. Wydawałaś mi się taka niewinna, wręcz anielska... Ale, niestety, wpadłaś. Teraz żądają swoich pieniędzy. - Opuścił głowę, skulił ramiona. - A już prawie mnie do siebie przekonałaś.

Serce się jej ścisnęło. Odwróciła się, oparła o bok auta. Boże, i co mam teraz począć? - rozpaczała w duchu. Jak go przekonać, co powiedzieć, by jednak mi uwierzył? Skłamałam i wiem, że źle zrobiłam. Miałam nadzieję, że może to jedno małe kłamstwo go ocali. Nie udało się. A ja tak bardzo go kocham.

A on mnie nienawidzi.

To moja wina, wyłącznie moja wina. Nie powinnam była posuwać się do kłamstwa. Mogłam się domyślić, że rebelianci i tak go nie zostawią, nie puszczą wolno. Choćbym nie wiem co im powiedziała. Dlaczego Ci nie zaufałam?

Łzy napłynęły jej do oczu.

Gage czuje się teraz zraniony do żywego. Przeze mnie. Gdybym go nie obchodziła, już wtedy w dżungli poszedłby swoją drogą, nie oglądając się na mnie. Gdyby mu nie zależało, nie byłby teraz taki rozczarowany, tak boleśnie zawiedziony.

Gorzkie łzy popłynęły Jennifer po policzkach.

Nigdy mu nie ufałam do końca. Szłam za nim, ale w głębi duszy miałam pełno obaw. Zabrakło mi wiary w niego. I w Ciebie, Panie. Nie wierzyłam, że nas wyprowadzisz.

Rozpacz stawała się coraz czarniejsza, gdy po kolei przypominała sobie swoje winy.

Panie, przez cały czas tyle mówiłam na temat wiary i przebaczenia, a teraz widzę, że sama do końca nie ufałam ani Tobie, ani Gage'owi. Dlaczego wątpiłam, dlaczego nie wierzyłam, że miałeś swoje powody, swój cel, by nas rzucić do dżungli, zdanych na samych siebie. Gdybym Ci zaufała, nie zrobiłabym tylu różnych głupich rzeczy.

Zaufanie. Do tego wszystko się sprowadza.

Gdyby wierzyła, że Gage wie, co robi, uparcie ciągnąc do miasta, może teraz byłiby bezpieczni. Za późno to rozumiała.

Boże, jaka byłam głupia! I jak go teraz przekonać, że ufam mu bezgranicznie? Cóż mogę jeszcze zrobić? I jak dowieść, że naprawdę go kocham?

Tłumiła w sobie łkanie, by Gage nie słyszał, nie zaczął się czegoś domyślać.

Wszechmocny Boże, proszę Cię, wybacz mi moją małą wiarę. Proszę, weź nas w Swoją opiekę, wybaw z opresji. Ufam, że nie zostawisz nas w potrzebie, tak jak ufam w Twoją boską potęgę.

Nieoczekiwanie spłynął na nią spokój, jakby Duch Święty nappełnił ją swoją łaską. Przestała się zadrećzać, przepelniona pewnością, że wszystko będzie dobrze, że Bóg ich nie opuści. Pochyliła głowę, dziękując w duchu za miłość i wyrozumiałość, jaką okazał jej Pan. Boże, dzięki Ci stokrotne za Twoją miłość, wyszeptała bezgłośnie.

I naraz wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Z przodu auta dobiegły głośne, nerwowe okrzyki, zaraz potem usłyszeli niesamowite kwiczenie i nagle z buszu wypadło wprost na drogę stado dzików. Kierowca rozpaczliwym gestem

gwałtownie szarpnął kierownicą, by ominąć przeszkodę; w tej samej chwili samochód przechylił się niebezpiecznie i zaczął koziółkować.

Jennifer krzyknęła histerycznie, złapała się Gage'a i niemal natychmiast gwałtowne szarpnięcie odrzuciło najpierw ją, potem jego, gdzieś do tyłu. Samochód uderzył bokiem o ziemię, zatrzymał się na drzewie. Zaległa głucha cisza.

- Jennifer... Jenny? *Cherie?*

Jego słowa dochodziły do niej jak przez mgłę. Uderzyła się w głowę. Zamrugwała, rozejrzała się niewidzącym wzrokiem. Gage pochylał się nad nią. Na twarzy miał bolesny grymas.

- Jesteś ranny? - Dlaczego jej głos jest taki słaby?

- Uderzyłem się w nogę. Chodź, musimy stąd zniknąć, nim w pierwszym samochodzie zorientują się, że coś się stało i wrócą po nas.

- Ale przecież jesteśmy więźniami - obruszyła się i dopiero, gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że jej protest jest zupełnie bez sensu. Dotknęła dłonią głowy, próbując zebrać myśli.

Twarz Gage'a złagodniała, popatrzył na dziewczynę z niepokojem.

- *Cherie*, musimy uciekać.

W jego głosie było tyle napięcia i determinacji, że nie opierała się dłużej. Spróbowała się podnieść i aż jęknęła z bólu. Pulsujący ból rozsadzał czaszkę. Drżącą dłonią chwyciła bok auta, nieco później zdając sobie sprawę, że to dach. Ręce ślizgały się po powierzchni, wreszcie przytrzymała się jakoś.

- *Cherie?*

Tym razem nie mogła się mylić. Niepokoi się o nią.

- Nic mi nie jest. Tylko trochę kręci mi się w głowie. Niezdarnie dotykała niepewnymi dłońmi zimnej metalowej powierzchni, w końcu udało się jej przesunąć do przodu. Gage już tam był. Poruszała się bardzo wolno. Kiedy do niego dobrnęła, sięgnęła ręką do bolącej głowy. Cofnęła dłoń, palce były czerwone od krwi. Patrzyła na nie oniemiała.



- Weź nóż.

To zwięzłe polecenie przywróciło ją do rzeczywistości. Podniosła wzrok. Tuż u jej stóp leżał nieruchomy mężczyzna. Od razu wiedziała, że nie żyje. Jeszcze jedna dusza, której los został przesądzony. Przed oczami zamajaczyły jej czarne mroczki, zaczęła drżeć, a kolana ugięły się niebezpiecznie.

- *Cherie*, kochanie, przykro mi, ale nie mamy czasu.

Poczuła, że klęka przy niej. Nie odezwała się ani słowem, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Jenny?

Wzięła głęboki oddech, pochyliła się ku leżącemu i odpięła wiszący u jego pasa nóż. Jęk, jaki doszedł z głębi auta, odwrócił jej uwagę. To kierowca zaczynał odzyskiwać przytomność. Nagle usłyszała odgłos nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. Czas, jaki im został, kurczył się rozpaczliwie.

- Rozetnij mi sznury na rękach.

Przeniosła wzrok na Gage'a. Patrzył na nią miękko.

- Jenny, dasz radę to zrobić.

- Jasne - powiedziała, ale bez przekonania.

- Jesteś w szoku - wyjaśnił, próbując ją pokrzepić.

- Nic mi nie jest - zaoponowała.

Odwrócił się i podsunął bliżej związane nadgarstki. Jennifer popatrzyła na nóż, potem na jego ręce, wreszcie zdecydowała się i przecięła krępujące go więzy.

Gage natychmiast odrzucił sznury, wziął od niej nóż, a wolną ręką ujął dziewczynę za ramię.

- Chodźmy! - Pospiesznie pociągał ją za sobą.

Głowa pękała jej z bólu, gdy niezdarnie przedzierali się przez dżunglę. Przed oczami wirowały czarne plamy. Zbierało się jej na mdłości. Ratowała ją tylko kontuzja Gage'a. Z bolącą nogą nie mógł poruszać się szybko. Zwolnił, po chwili znowu pociągnął ją naprzód. Z daleka dobiegły odgłosy wystrzałów.

- Szukają nas. Na szczęście do miasta chyba jest niedaleko, dwa, może trzy kilometry.

- Dwa kilometry? - powtórzyła z nadzieją. - To znaczy, że jesteśmy bezpieczni?

- Jeszcze nie. Musimy schronić się w jakimś hotelu. A tam dowiem się, gdzie jest amerykańskie przedstawicielstwo. Wtedy będziemy bezpieczni.

Jennifer skinęła głową. W Paulo z pewnością jest amerykański przedstawiciel. Wprawdzie to niewielkie miasto, ale Stany prowadzą interesy z San Gabriel, trochę importują, a przede wszystkim negocjują zezwolenia na badania tutejszej flory i fauny. Jednak ostatnio sytuacja polityczna staje się coraz bardziej napięta, więc jest również możliwe, że rząd amerykański odwołał swoich urzędników. To przecież dlatego tak jej zależało, by jak najszybciej wydostać stąd te dzieci, ale jeśli głęboko wierzy, powinna ufać, że nawet w beznadziejnych okolicznościach Bóg wskaże jej drogę.

Potrząsnęła głową. Nie, nie będzie się zastanawiać, nie będzie wątpić. Podąży za Gage'em z przekonaniem, że Bóg szczęśliwie doprowadzi ich do miasta. Bez względu na to, czy Gage podziela jej wiarę, czy nie.

## ***ROZDZIAŁ SZESNASTY***

Wreszcie dotarli do peryferii Paulo. Gage prowadził Jennifer przez ciągnące się w nieskończoność uliczki. Wirowało jej w głowie, ale posłusznie poddawała się poleceniom. Nie zastanawiała się, co ich czeka; oddychała z ulgą, że już nie musi się o nic martwić, że Gage wie, dokąd zmierza. Marzyła tylko o jednym: by oprzeć się o niego i choć chwilę odetchnąć. Tak bardzo brakowało jej sił, ledwie trzymała się na nogach. Zatrzymać się choćby na moment. Ale o tym nie było mowy.

Nawet nie spostrzegła, jak doszli do hotelu. Rozległy, parterowy budynek tonał w otaczającej go zieleni. Potężne, rozrośnięte drzewa zajmowały każdy wolny skrawek ziemi.

Gage od razu podszedł do telefonu. Łamanym hiszpańskim poprosił o połączenie z lotniskiem, po chwili oddał słuchawkę recepcjoniście. O pokój również poprosił po hiszpańsku.

Widząc jej zdziwioną minę, wyjaśnił:

- Mówiłem ci, że trochę znam hiszpański. Dzwoniłem do znajomego. Poprosiłem, by zapłacił za hotel.

Ruszył do przodu, ale naraz zatrzymał się i popatrzył na nią. Widać musiał wyczytać coś w jej twarzy, bo nieoczekiwanie otoczył Jennifer ramieniem.

Recepcjonista sięgnął po klucz i nadal rozmawiając przez telefon, podał mu numer pokoju.

Wydawało się jej, że nigdy nie dojdą na miejsce. Kiedy wreszcie znaleźli się w pokoju, Gage od razu podprowadził ją do fotela. Swoją plecak rzucił na biurko, a plecak Jennifer na podłogę.

- Zostań tu i nie ruszaj się na krok - przykazał. - Muszę opatrzeć sobie nogę.

Jennifer oparła głowę, rozkoszując się miękkością fotela. Nie miała siły mówić, skinęła jedynie głową. Gage zatrzymał się na progu łazienki.

- Mówię poważnie, *cherie* - oświadczył surowo. - Jeśli uciekniesz, odnajdę cię.

Była zbyt zmęczona, by protestować. A więc nadal jej nie wierzy. Z rozpaczą zapatrzyła się w duże, balkonowe okno. Zaufanie. Tylko ono się liczy, do tego się wszystko sprowadza. I co ma teraz robić? Musi zaufać Bogu, w nim jedyna pociecha. Kocha tego mężczyznę, ale nie może go zmusić, by i on ją pokochał.

Z łazienki dobiegło mruczenie Gage'a, po chwili drzwi się otworzyły.

- No i jak? - zapytała. - Co z twoją nogą?

- Prawdopodobnie naderwałem jakieś ścięgna, ale poza tym w porządku.

Pokuśtykał do telefonu, zamówił rozmowę do Stanów.

- Sam, to ja.

Znużonym gestem opadł na krzesło przy biurku.

- Tak, nic mi nie jest.

Chwilę milczał, wsłuchując się w głos po drugiej stronie.

- Tak, pani Rose też specjalnie nie ucierpiała. Zabawnie, jakby ze zdziwieniem, uniósł brew.

- Naprawdę? No nie. Zaraz jej powiem. Z pewnością będzie jej miło usłyszeć, że przez całą noc modlono się w intencji naszego szczęśliwego powrotu.

Z jaką chęcią by teraz uścisnęła pastora! Ze wzruszenia poczuła łzy w oczach. W duchu żarliwie dziękowała Bogu za opiekę.

- Nie, to było na pokładzie. Broń... słyszysz? Znowu na chwilę zaległa cisza.

- Czyli Miguel jest w drodze i wszystkim się zajmie. Dzwoniłem do znajomego na lotnisko, by uregulował rachunek za hotel. Mógłbyś mu przesłać pieniądze? Potarł dłonią policzek.

- Dobra, to tyle. Dzięki. Tak, trzyma się nieźle. Pozdrów jej pastora.

Przysłuchiwał się jeszcze chwilę i odłożył słuchawkę. Żadne z nich się nie odezwało. Gage podniósł się, opuścił głowę w zamyśleniu.

Jennifer wyprostowała się w fotelu. Czuła się fatalnie. Głowa pękała jej z bólu.

- Chyba pójde wziąć prysznic - powiedziała wreszcie, dochodząc do wniosku, że to najbardziej jej pomoże.

Podniosła się z miejsca.

Gage popatrzył na nią, miał zmęczoną twarz.

- Już wszczęto śledztwo - powiedział. - Sprawdzają firmę - dokończył cierpko.

- Gage... - odezwała się współczująco. - Ale wasz pilot, ten Miguel, już jest tutaj, może coś wskóra?

Wzruszył ramionami.

- Sam też nie zasypia gruszek w popiele, robi, co może. Kto wie, jak sprawy się potoczą. W każdym razie plotki rozchodzą się bardzo szybko i fatalnie psują opinię. To może wykończyć najlepszą firmę.

Jennifer podeszła bliżej, łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Gage, zaufaj Bogu. On może jeszcze wszystko odmienić... Potrząsnął głową.

- Już za późno.

- Dlaczego nie chcesz na nikim polegać? - zapytała cicho.

- Dlaczego nie chcesz nikomu zaufać, zdać się na czyjąś pomoc? Byłoby ci lżej.

Odwrócił wzrok, wyraźnie stropiony.

- Kogo masz na myśli, Jenny? Uważasz, że powinienem ci zaufać? Mimo że też mnie oszukałaś?

Zabrała dłoń i cofnęła się o krok.

- To prawda, że skłamałam. Okłamałam tych rebeliantów. Źle zrobiłam, wiem. Ale zaczynam rozumieć, jaki jest twój problem, Gage. Boisz się, że jeśli przestaniesz się gniewać na cały świat, zaczniesz cierpieć. I nie będziesz mógł przed tym uciec. Przyznaj, że jeszcze nie opłakałeś tak naprawdę żadnej z bliskich ci osób, które straciłeś, prawda? Boisz się, że rozpacz i smutek cię pognębią, że nie zdołasz się otrząsnąć. Wolisz chować w sercu żal, że cię zawiedli, że nie grali z tobą w otwarte karty, bo tak ci jest łatwiej. I zarzekłeś się, że już nigdy nikomu nie zaufasz, bo znowu możesz się rozczarować. Bronisz się w ten sposób.

- Co ty opowiadasz? - parsknął.

- Przeraza cię myśl, żeby zaufać Bogu. Bo jeśli przypadkiem się okaże, że jednak jest ktoś, komu na tobie zależy, kto obdarza cię bezgraniczną miłością, to znaczy, że podsycasz w sobie ten gniew ze strachu, z lęku, by ani na moment nie otworzyć się przed innym człowiekiem, by przypadkiem komuś nie zaufać. To błędne koło, co?

- Nie gniewam się na Boga - zaprzeczył. - Chodzę do kościoła, *cherie*. Tylko że według mnie do nieba trafi tylko ten, kto odda Mu się bez reszty. Nie inaczej.

Kłamał. Widziała to po jego oczach.

Potrząsnęła głową. A więc odkryła jego słaby punkt. Skrzywiła się raptownie, bo przez ten mimowolny ruch ból stał się nie do zniesienia.

Gage zbliżył się ku niej, Jennifer cofnęła się.

- Nie masz racji, Gage - wyszeptała, z trudem znajdując słowa. Głuche dudnienie w głowie nie pozwalało myśleć. - Dobrze wiesz, że jeśli zwrócisz się do Boga, przyjmie cię z miłością. I sprawi, że się przełamiesz, że na nowo odzyskasz dawną ufność. Po prostu łatwiej oskarżać Boga, że ci nie pomógł, łatwiej mieć pretensje do mnie. O wiele trudniej stanąć twarzą w twarz z własnymi uczuciami.

Skrzywił się.

- Nie chcę o tym mówić. Nie widzę powodu. Spotkamy się z naszym przedstawicielem, powiesz mu o broni i zaświadczysz, że ja nie mam z tym nic wspólnego.

Jennifer westchnęła. Niepotrzebnie się łudzi, że go przekona. Odwróciła się do drzwi.

- Jenny! - Pochwycił ją łagodnie, objął w talii. - Co ci się stało w głowę? Zamrugwała, zaskoczona. Jęknęła, bo dotknął piekącego miejsca. Na palcach pojawiła się krew.

- Masz pełno krwi na włosach. Wiem, że się uderzyłaś, może nawet na chwilę straciłaś przytomność, ale czemu nie powiedziałaś, że jest aż tak źle? - Popatrzył na nią z udręką, jak człowiek, który znalazł się na rozdrożu i nie potrafi podjąć decyzji. Wahał się przez chwilę, jednak ją puścił. Nie mogę ci ufać, mówiło jego spojrzenie.

Pochylił się, podniósł z podłogi jej plecak, zaczął go otwierać.

- Mówiłaś, że bierzesz bandaż. Gdzie one są? Muszę opatrzyć ci głowę i... Jenny...

W jego oczach malowała się tak głęboka rozpacz, że zaparło jej dech. Wyciągnął rękę z plecaka. Trzymał w dłoni plik banknotów.

Patrzyła na niego oniemiała. To te pieniądze... Przynajmniej teraz już wiedzą, gdzie się podziały.

Zaśmiała się histerycznie.

- Wiem, że nie uwierzysz, gdy powiem, że nie miałam o nich pojęcia. Jasne, że nie - ciągnęła, nie dopuszczając go do słowa. - Nie, to przecież niemożliwe. Nie wierzę własnym oczom. Dlaczego to nie ty pakowałeś plecaki? Dlaczego? Wtedy wszystko byłoby inaczej.

Czarne mroczki migały jej przed oczami, czuła, że zaraz zemdleje. Zacerpnęła powietrza i popatrzyła na Gage'a.

- Wiem, że już za późno, by między nami mogło coś być. Ale ja cię kocham, Gage. Naprawdę. Nie wiem, jak to się stało, nie wiem dlaczego. Ale

tak jest. Może dlatego, że w głębi duszy czuję, że masz dobre serce. Nie wiem. Wiem tylko, że... że zawsze będę cię kochać.

- Przestań... - rzucił szorstko, ale w jego głosie było tyle cierpienia, że nie mogła się mylić. Jemu też zależało na niej. - Jenny, nic nie mów. Proszę. Nie mogę tego słuchać.

Gorące łzy popłynęły jej po policzkach.

- Jaka szkoda, Gage - wyszeptała żałośnie. - Ale to już nie ma znaczenia. Poddaję się.

- Jenny... - zaczął, ale przerwał mu odgłos otwieranych drzwi.

Niewysoki brunet w dżinsach i skórzanej marynarce wszedł do pokoju. Zamknął za sobą drzwi.

- Miguel.

To z nim miałam lecieć na San Gabriel, przypomniała sobie Jennifer.

- Cieszę się, że jesteś - powitał go Gage. - Jak nas tu znalazłeś? - Potarł dłonią kark. - Zresztą nieważne. Musimy jak najszybciej dostać się do ambasady.

Nie patrzył na Miguela, bo nadal masował kark, ale Jennifer od razu spostrzegła wyciągnięty rewolwer. Zamarła z przerażenia, przeniosła wzrok na stojącego po jej lewej stronie Gage'a, który właśnie w tej chwili podniósł głowę. W jego oczach błysnęło pełne niedowierzania zdumienie.

Naraz go olśniło.

- To ty podrzuciłeś broń! - wykrzyknął, patrząc na Miguela zwięzonymi oczami.

Miguel wzruszył ramionami.

- Plan by się udał, gdybyś nie był taki wyrywny i wstrzymał się z tym lotem do mojego powrotu. To ja miałem lecieć.

Gage popatrzył na Jennifer. Z żalem.

- Muszę mieć te pieniądze - ciągnął Miguel. - Moi kontrahenci są wściekli na ludzi ze Stanów, którzy są w to wciągnięci. Muszę oddać im szmal, nim moi



amerykańscy kumple dobiorą się do mnie... - Urwał, jego wzrok powędrował na biurko i leżące na nim banknoty. - Widzę, że macie tu moją forszę. To się dobrze składa.

- Domyślam się, że nie zabierzesz się z nią i po prostu spłyniesz? - cicho zapytał Gage.

Pilot potrząsnął głową.

- Za duże ryzyko - odparł. Uśmiechnął się krzywo. - Zresztą, biorąc pod uwagę okoliczności, nikt się specjalnie nie zdziwi, kiedy się okaże, że zostaliście zamordowani. Nie będzie z tego powodu dużo hałasu.

Gage zacisnął zęby.

- Miguel, przed chwilą rozmawiałem z Samem. Znajdzie się ktoś, kto w końcu poskłada wszystko do kupy. Śledztwo już trwa i inspektorzy są w drodze.

Miguel lekceważąco wzruszył ramionami.

- W takim razie znowu będę musiał zmienić rejon.

Znowu. Jennifer poczuła, że robi się jej słabo. Ten człowiek morduje z zimną krwią, od dawna. A teraz mierzy w Gage'a...

Nóż. Gage nadal ma nóż. Nie chciała nawet myśleć, co za chwilę może się stać, co się pewnie stanie. Ale nie mogą się poddać bez walki, trzeba przynajmniej spróbować, i musi mu w tym pomóc. Panie, poprowadź go, modliła się w duchu.

Gage nieznacznie poruszył ręką.

- Czyli zamierzasz nas zabić? - zapytała, chcąc w ten sposób odwrócić od niego uwagę Miguela.

Gage popatrzył na nią ze zdumieniem. Zrozumiał.

- Niestety tak, panno Rose. Przykro mi. Zawsze mi żal, gdy cierpią niewinne osoby, ale nie mam wyboru...

- Masz wybór! Pozwól nam odejść! - wykrzyknęła, bo Miguel znów przeniósł wzrok na Gage'a.

Udało się, bo spojrzał na nią i w tym momencie Gage rzucił w niego nożem.

Miguel zacharczał, osunął się na ścianę i rzucając przekleństwa, opadł na podłogę.

Gage postąpił krok w jego stronę, ale zatrzymał się. Miguel nadal miał w ręku rewolwer. Mierzył ich nienawistnym spojrzeniem.

- Zabiję was! - warknął.

Gage z rezygnacją przygarbił ramiona. Miguel nacisnął spust.

- Nieee! - wykrzyknęła rozpaczliwie Jennifer i rzuciła się na Gage'a, osłaniając go swoim ciałem.

Zabrzmiał wystrzał.

Poczuła, jakby ktoś uderzył ją masywnym drągiem po plecach. Upadła na Gage'a.

- Jenny! - Ześlizgując się na podłogę, usłyszała pełen bólu krzyk Gage'a. Próbowała zrozumieć, co się stało.

Dochodziły do niej jakieś słowa, urwane okrzyki. Gage pochylał się nad nią. Podniósł ją i przytulił do siebie. Jęknęła z bólu. Plecy paliły ogniem.

- Tak mi przykro, *cherie*, tak strasznie przykro.

- Nic mi nie jest - wyszeptała. - Jestem tylko zmęczona. Z konsternacją i niedowierzaniem patrzyła na jego łzy.

- On cię postrzelił, Jenny.

Zamrugła, próbując zrozumieć sens jego słów.

- Tak? - powiedziała tylko.

Naraz w pokoju zrobiło się tłoczno. Jacyś ludzie wynieśli nieprzytomnego Miguela. Ktoś krzyczał, że policja już jedzie.

Gage nie zauważał niczego, co się wokół nich działo. Nie odrywał oczu od kobiety, którą trzymał w ramionach. Kobiety, którą kochał, ale której nie ufał.

- Jenny, wybacz mi, proszę. Błagam cię. Miałaś rację, absolutną rację. Proszę, nie zostawiaj mnie.

- Jak miło tego słuchać - szepnęła, coraz bardziej nieobecna.

- Jenny, *cherie*. Nie, proszę. Chcę ci powiedzieć... Jenny? - Zmartwiałym wzrokiem patrzył na nieruchomą dziewczynę.

- Nie umieraj. Nie teraz, Jenny. Chcę ci powiedzieć, że cię kocham.

- Przepraszam, *señor*, ale musimy natychmiast zabrać ją do szpitala.

Jak odurzony patrzył na oddalających się z noszami sanitariuszy. Jak to się stało, że karetka tak szybko znalazła się na miejscu?

Nie mógł powstrzymać łez, gdy uświadomił sobie, że życie tej, którą kocha, wisi na włosku. Przez ten jego cholerny upór. Jenny ma rację. Życie doświadczyło go tak ciężko, że nie chce więcej ryzykować, że agresją i gniewem broni się przed innymi, nikogo nie chce do siebie dopuścić, nawet Boga. Wybaczyć, to znaczy znowu narazić się na cierpienie.

A jednak Jenny poszła tą drogą, choć tyle w życiu straciła, wszystkich i wszystko. I mimo to nie boi się ryzykować, nie boi się kochać. Dlaczego nie przejął tego od niej, dlaczego jej przykład niczego go nie nauczył?

Olśniło go. To nie do końca jest tak. Jednak zmienił się pod jej wpływem, inaczej widzi, inaczej czuje. To dzięki niej znowu mu na kimś zależy, otworzył się na drugiego człowieka, pokochał ją. Choć w czasie tej wędrówki przez dżunglę ani słowem się z tym nie zdradził.

Wskazała mu kierunek, właściwą drogę. Ta śliczna, niewinna dziewczyna, tyle razy tłamszona, pokazała mu, czym naprawdę jest życie i miłość.

W nagłym przebłysku zobaczył swoją szansę, sposób na okazanie jej wdzięczności. Udowodni, że dzięki niej naprawdę się zmienił - jeśli Jenny przeżyje. Już wie, co powinien uczynić.

Podążył za sanitariuszami do prowizorycznej karetki przerobionej z wojskowego samochodu. Usiadł przy noszach.

Panie, przebacz mi, proszę, modlił się w duchu. Wybacz, że byłem jak ślepy, że nic do mnie nie docierało. Zesłałeś tę dziewczynę, by otworzyła mi oczy, by powiedziała mi o Twojej miłości. Dziękuję ci za to, Panie. I błagam, oszczędź ją, uratuj. Boże, wiem, że się myliłem, tak bardzo się myliłem. Ty przecież troszczysz się o każdą istotę, o każdego z nas.

Delikatnie dotknął głowy dziewczyny i wyszeptał:

- Ale jeśli postanowisz ją zabrać, ja nie odwrócę się od Ciebie, Panie.

Pochylił się, musnął ustami czoło Jenny.

- Chociaż nigdy nie przestanę jej kochać.

I nie przestanę rozpaczać, dokończył w myśli. Nigdy.

## ***ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY***

Dźwięk otwieranych drzwi wyrwał Jennifer z zamyślenia. Ostrożnie podniosła się w łóżku, w jej oczach przemknął błysk nadziei, ale niemal w tej samej chwili zniknął, a na twarzy dziewczyny odmalowało się rozczarowanie.

- No nie! Jeśli za każdym razem, kiedy cię odwiedzam, będziesz mieć taką zawiedzioną minę, to chyba przestanę przychodzić!

Jennifer uśmiechnęła się, speszona.

- Jake! Wejź, proszę.

Pastor wszedł do szpitalnej sali, z uśmiechem podszedł do łóżka.

Przesunął dwa wazony z pięknymi kwiatami, stojące na niewielkim stoliku, by zrobić miejsce na wypchaną płócienną torbę.

- To kartki z życzeniami powrotu do zdrowia od dzieciaków z naszej parafii.

- Jakie to miłe! - zawołała, patrząc na kwiaty poustawiane w całym pokoju. Zachwycił ją i przepiękny bukiet z goździków przysłany przez Maxa i Randa, i skromny bukiet drobnych stokrotek. Wśród różnobarwnych

kompozycji zieleniły się też trzy doniczkowe rośliny. Nie było nawet odrobiny wolnego miejsca.

Tyle dowodów ludzkiej życzliwości i ciepła. Ale to, czego najbardziej pragnęła, co by sprawiło jej największą radość, nadal było jedynie niedosiężnym marzeniem. Od tamtego dnia nie miała od Gage'a żadnej wiadomości, nie dał choćby najmniejszego znaku życia. Minęły już dwa tygodnie.

Utkwiła wzrok w ekranie telewizora nastawionego na program z wiadomościami.

Zdumiała się, gdy Jake wyjął jej z ręki pilota i wyłączył odbiornik.

- Jake!

Pastor uśmiechnął się wyrozumiale.

- Słuchaj, śledzenie non-stop wiadomości naprawdę nic ci nie da, to żadna metoda. Musisz zaufać Bogu.

Jennifer westchnęła, słysząc te słowa. Jake ma rację. Ale na myśl o Gage'u, przebywającym gdzieś na San Gabriel, łzy same napływały jej do oczu.

- Minęły już dwa tygodnie. A przecież wiesz, jak trudna jest tam teraz sytuacja. Rząd się chwieje, na dodatek zamknęli granice. Nie ma mowy, by teraz ktoś się stamtąd wydostał. A jeśli coś mu się stało? I te dzieci...

Jake ujął dłoń dziewczyny, uścisnął ją serdecznie, dodając otuchy.

- Nie martw się o dzieci. Zapewniam cię, że trafią do Richardsonów, znajdziemy sposób, by tak się stało. Bóg o wszystkim pomyślał, ma swój plan, choć my nie potrafimy tego ogarnąć. Zaufaj Mu, Jenny.

Skinęła głową.

- Dobrze, Jake. Ja... po prostu strasznie się niepokoję. Już otrząsnęłam się z przykrych wydarzeń, jakie spotkały mnie w życiu, przestałam obwiniać o nie siebie i innych. Pogodziłam się z tym, co stało się z naszą świetlicą, ale... ale nie mogę przestać martwić się o Gage'a.

Pastor serdecznie uścisnął jej dłoń.

- Jennifer, Gage cię kocha. Gdyby tak nie było, czy by się upewniał, że jesteś bezpieczna?

- Ale czemu nie wyjechał ze mną?! - wykrzyknęła. - Coś musiało się stać. Jake spochmurniał.

- Jennifer, twoje życie naprawdę wisiało na włosku. Chyba nie muszę ci tego mówić. Czy już zapomniałaś, co było z twoimi płucami? Poza tym przez pięć dni nie odzyskiwałaś przytomności. Sami lekarze twierdzą, że twój dzisiejszy stan to prawdziwy cud. Zwłaszcza że minęły dopiero dwa tygodnie. Powinnaś dziękować Bogu, że tak szybko odzyskujesz siły i wracasz do zdrowia. I zdać się na Niego. Dziewczyna skinęła głową.

- Ach, zapomniałbym ci powiedzieć. Miałem kontakt z misjonarzem z San Gabriel. Obiecał rozejrzeć się, może się czegoś dowie.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję.

- Bardzo przepraszam.

Jennifer i Jake odwrócili się do stojącej na progu pielęgniarki.

- Telefon do pana, pastarze. Dzwoni pan Richardson. Podejdzie pan odebrać?

- Zaraz wracam - powiedział Jake i ruszył do drzwi. Jennifer przekręciła się na bok.

- Nie śpiesz się! - zawołała za nim.

Domyślała się, jak bardzo muszą być przygnębieni Richardsonowie. Z pewnością głęboko przeżywają tę sytuację, denerwują się nie mniej niż ona. Zobowiązała się przywieźć dzieci i nie dotrzymała słowa. Oczywiście zapewniali ją, że nie mają do niej żalu, ale pewnie nie chcieli, by się załamała.

- Panie, miej w opiece Gage'a - wyszeptała. - Nie mogę go stracić. Kocham go...

- Ja też cię kocham, *cherie*.

Wstrzymała oddech, z trudem przekreśliła się, by widzieć drzwi. Na progu stał Gage. Wynędzniały, zmizerowany, wprost ślaniał się ze zmęczenia.

- Gage?

- Przepraszam cię, *cherie*, że zajęło mi to tyle czasu.

- Gdzie ty się podziewałeś?! - wykrzyknęła drżącym głosem. Ogarnęło ją cudowne uczucie ulgi.

Zawahał się. Przez mgnienie patrzyła na niego w milczeniu, zdezorientowana. Naraz ją olśniło. Nie jest pewien. Wyciągnęła ku niemu ramiona.

Gage nie potrzebował dodatkowej zachęty. W dwóch krokach znalazł się przy niej, przytulił do siebie z czułością.

- Och, *cherie*! Jak wspaniale wyglądasz. Tak się bałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

Jennifer zaczęła płakać. Gage tulił ją tkliwie.

- *Cherie*, moja najdroższa, nie płacz. Przepraszam cię, *ma petite*.

Rozkoszowała się płynącą z niego siłą, cudownym poczuciem bezpieczeństwa, jakie ogarniało ją w jego ramionach. Dziwne, ale to podsyciło złość, jaka w niej naraz wezbrała.

- Mogli cię zabić! - wykrzyknęła i odepchnęła go od siebie. - Gage, gdzie ty byłeś przez tyle czasu? Dlaczego nie przyjechałeś wcześniej? - zawołała z wyrzutem, zarzucając mu ręce na szyję.

- Martwiłaś się o mnie?

- Ależ skąd! Niby dlaczego miałabym się martwić? - powiedziała i zanosła się szlochem. Przywarła do niego mocno i opadła na łóżko.

Gage, pociągnięty gwałtownie, niemal upadł na nią. Nie protestował, rozjaśnił się w uśmiechu.

- Musiałem koniecznie coś zrobić, *cherie*.

Chciała coś powiedzieć, ale uciszył ją, kładąc palec na jej ustach.

- Daj mi skończyć. Miałaś świętą rację. Kryłem się przed Bogiem, nie chciałem już więcej cierpieć, bałem się ryzyka. Chciałem iść przez życie prostą drogą, na pewniaka. Dopiero ty uświadomiłaś mi, że w życiu nic nie jest pewne, że nikt nie jest w stanie sam zagwarantować sobie spokoju.

Spoglądała na niego ze zdumieniem. Gage uśmiechnął się.

- To mi tylko wyszło na dobre, *cherie*. Naprawdę. Widzisz, ja cię kocham. I już nie muszę uciekać przed światem. Przyszedł taki czas, że chcę spróbować od nowa zaufać Bogu.

- Ale przecież twierdziłeś, że Bóg wcale się nie interesuje pojedynczym człowiekiem.

Gage uśmiechnął się. Ta dziewczyna nigdy się nie poddaje, musi wydusić z niego wszystko. Mieć pewność. Boże, jak on ją kocha!

- Byłem w Laharze. I na własne oczy widziałem cuda, jakie się tam wydarzyły. Dokonała się we mnie prawdziwa przemiana. Teraz już wiem, że Bóg pochyła się nad każdą ludzką istotą, nad każdym stworzeniem. I wiesz, uświadomiłem sobie jeszcze coś... Moja mama chyba celowo mnie oszukiwała, ponieważ czuła, że nie jest w stanie znieść w domu mojej obecności, kiedy ona umiera. Już i tak było jej ciężko, że moja siostra o wszystkim wie, że jest w to włączona, że cierpi. Niedawno rozmawiałem z Beccą i właśnie mi to powiedziała. To był pierwszy raz, kiedy naprawdę rozmawialiśmy na ten temat. Szczerze i otwarcie. Ale już zaplanowaliśmy rodzinne spotkanie. Odbędzie się wkrótce. Wtedy pogadamy.

- Aha.

Jennifer zmieniła się na twarzy. Domyślił się powodu. Pochylił się i pocałował ją delikatnie. Kiedy się wyprostował, jej oczy lśniły od łez.

- W takim razie, kiedy wyjeżdżasz? Gage leciutko wygiął usta w uśmiechu.

- To zależy od ciebie, *cherie*.

- Ode mnie?



- Obiecałem siostrze, że zobaczy mnie, gdy wraz z tobą będę odchodzić od ołtarza. Nie wcześniej.

Popatrzyła na niego stropiona, naraz oczy jej błysnęły.

- Czy to znaczy...?

Pocałował ją ponownie, ujął w dłonie jej rękę i zajrzał głęboko w oczy.

- Kocham cię, kocham cię nad życie. Przez te ostatnie tygodnie wiele się zastanawiałem, przemyślałem sobie wszystko, co do tej pory przeżyłem. I dopiero teraz, gdy ciebie poznałem, naprawdę odnalazłem spokój, prawdziwy sens i radość życia... dzięki twojej miłości. Ty wskazałaś mi kierunek, jedyną właściwą drogę... do Boga. I zrozumiałem, jak bardzo bez ciebie jestem samotny. Już nie potrafię wyobrazić sobie przyszłości, jeśli ciebie nie będzie przy mnie. Jenny, *cherie*, czy wyświadczysz mi zaszczyt i zgodzisz się zostać moją żoną? Gorące łzy popłynęły jej po policzkach.

- Straszny ze mnie mazgaj - wymamrotała, ocierając je wierzchem dłoni.

Gage ujął jej dłoń, scalał łzy.

- Kocham cię taką, jaka jesteś, *cherie*. Uśmiechnęła się promiennie.

- Gage, bardzo bym chciała za ciebie wyjść. Ale najpierw muszę pojechać na San Gabriel. Nie mogę zostawić tych dzieci na łasce losu.

Popatrzył na nią z konsternacją.

- Jenny, *cherie*, muszę ci o czymś powiedzieć...

- Jennifer, czy słyszałaś? Gage wrócił i przywiózł dzieciaki... Och! - Jake jak wryty zatrzymał się na progu. Z niedowierzaniem przeniósł wzrok z Jennifer na Gage'a. - Widzę, że już o wszystkim wiesz.

Jennifer patrzyła na niego ze zdumieniem. Jake uniósł brwi, Gage zarumienił się.

- Gage jest bohaterem. Uratował misję na San Gabriel i wywiózł stamtąd dzieci.

- Co takiego? - zdumiała się dziewczyna. - Jak? Gage wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że wychodzisz za dobrze ustosunkowanego faceta. Mam kilku kumpli w wojsku, pociągnęli za właściwe sznurki... zwłaszcza gdy powiedziałem, że chodzi o uwolnienie dzieci.

- Gage!

- Nie mogłem ich tam zostawić - wyjaśnił, wzruszając ramionami. - Zbyt wiele dla ciebie znaczyły.

Serce przepełniła jej szaleńcza radość.

- Czyli dzieci już są u Richardsonów? Skinął głową.

- Wiesz, Gage, chyba nigdy nie będę bardziej szczęśliwa niż teraz.

- Chyba że w raju - uzupełnił Jake, dyskretnie przypominając o swojej obecności.

Jennifer potakująco skinęła głową. Tak, chyba że w niebie. Wyciągnęła ramiona, żarliwie objęła Gage'a.

- Więc powiem to inaczej - szepnęła. - Jestem najbardziej szczęśliwa po tej stronie raju.

- Ja też, *cherie*. Ja też.

